Nr. 8. Warszawa, dnia 12 (24) Lutego 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

II.

Po nadejściu posiłków Anglikom w listopadzie r. z. zastanowienie się nad rozległością i upostaciowaniem widowni wojennej, nad ustosunkowaniem sił, rozkładem stanowisk i prawdopodobnemi działaniami stron obu nakazało powiedzieć, że nadeszła już pora, w której domniemanie zwycięztw i powodzeń obraca się przeciwko Boerom. Rzeczywistość z przędzy myśli utkała jeszcze spory błam szczęścia wojennego dla tych, którym lepsze prawo powinno też było i los lepszy zapewnić. Trzykrotna klęska, przynajmniej planów, jeśli nie wojsk Bullera, zacząwszy od 15 grudnia, klęska z ciężkiemi, zwłaszcza za pierwszym razem połączona stratami — odwlokła dla Boerów świt tej mrocznej doby, w której ilościowa, materyalna przewaga oręża i zasobów wojennych musiałaby przytłoczyć jakościową wartość dusz walczących, sprawność bojową, dogodność organizacyi, łatwość taktyczną, i wreszcie ten, jakby przez samą naturę dodawany czynnik powodzenia: umiejętne obieranie i wyszukiwanie pozycyj, korzystanie z dróg dla nieprzyjaciela utajonych, szybkie zaopatrywanie się w żywność — co wszystko może mieć tylko człowiek zrosły z ziemią i przestworem, będący u siebie, broniący swych ognisk, swych praw, dziejowego swego życia.

Ale szczęście, nietylko z własnego męztwa, ale i z błędów nieprzyjaciela, i to bardzo grubych błędów—wykrzesane, musiało wreszcie przebłysków swych zaprzątać. Sprawienie do boju siódmej dywizyi, przysłanie zdolniejszego, na całej szachownicy już zagrać mającego, generała z doświadczeniem bojowem i nie bez zdolności pozwoliło Anglikom rozpocząć nową, dla Boerów znojną dobę, odsieczą skuteczną, daną Kimberleyowi już w d. 14 b. m. Na trzy dni przedtem rozpoczęte ruchy zaczepne tego dnia uwieńczyły się powodzeniem. Wszystkie stanowiska po nad Rietem, dopływem Waalu, ostatnim przed ujściem tej rzeki do Orange, nad Modderem, dopływem Rietu, Boerowie odrazu utracili. Niepodobna wierzyć w nagłe zaskoczenie, które jakoby zagroziło już linii odwrotu, niepodobna też ufać komentarzom strategów redakcyjnych w Europie, że naczelny wódz orański, Cronje, wszystko przewidział i wszystko usunął już sam z siebie, bez nacisku angielskiego: zdaje się przecież, że odwrót z pod Kimberleyu i stanowisk nadrzecznych rozpoczęty był zbyt późno, a dalsze ruchy i plany Orańczyków doznają utrudnień i przeszkód, jakich by nie było przy zupełnej rozwadze, obejmującej odrazu całość ruchów nieprzyjacielskich i doniosłość ich skutków.

Po stracie południowo-zachodniego rogu widowni niedorzecznem już byłoby ze strony Boerów posuwać się lekkimi a nielicznymi oddziałami na południe, w kraj Przylądka; rozsądek narzuca nawet szybkie wycofanie tych sił, które tam już przed kilku tygodniami powpadały, a uwijały się nie bez powodzenia około Rendsburga i Colesberga. Wszystko, co żyje, powinno co tchu spieszyć z powrotem za Orange. Każda jednostka boerska ma wartość dziesięciu angielskich, a w skupieniu jeszcze się potęguje: rozpraszanie sił, gdy ich jest tak mało, dałoby się wyrozumieć tylko partyzanckim animuszem i partyzancką też niesfornością. Odwrót z Rendsburga nie będzie łatwym: obawiać się tu nawet można katastrofy. Wtargnięcie większych sił angielskich — zdaje się, że ze 30,000 od południo-zachodu do Oranii — działa już i na daleki Natal przygnębiająco. Zarówno polityka, jak strategia nakazują Transwalowi dać pomoc braciom orańskim: dać jej zaś nie można, nie osłabiając samych siebie nad Tugelą i w całym północnym Natalu, a nieuniknionym skutkiem takiego osłabienia będzie i zmiana dotychczasowego planu głównego, wytężającego usiłowania na zdobycie Ladysmithu. Nowe położenie narzuca plan nowy: obronę drogi do Harrismithu, opór przeciw posunięciu się Anglików w ów historyczny trójkąt natalski, wreszcie gotowość do powstrzymania nieprzyjaciela, któryby przez Zuluanię i Tongaland wedrzeć się chciał w południo-wschodni, geograficznie jak najgorzej położony, róg Transwalu. Całym i jedynym celem powinno tu być, jak na teraz, odparcie Bullera od granic kraju.

Co zrobi Cronje, co już robi — co i jak wogóle poczynają sobie Orańczycy, opadnięci przez przeważne siły Anglików, posuwających się do ich stolicy, Bloemfontein, o dwadzieścia parę mil od Kimberleyu odległej? Przy słabości sił, które nie mogą przenosić kilkunastu tysięcy, choć je podawano na 30 i nawet 35 tys., w oczekiwaniu posiłków, a roztropnem poczuciu liczebnej i taktycznej niższości, przyjmowanie wielkiej walnej bitwy nie jest chyba zamiarem wodza orańskiego. Celem jego może być tylko opóźnianie pochodu. Ku temu najlepiej posłuży zajęcie kilku stanowisk na północ i południe od drogi prowadzącej do Bloemfontein. Zostawiać za sobą Boerów, sił ich rzeczywistych nie znając, niepodobna, a spędzenie czas zajmie. Północ zwłaszcza, pod Boshofem, Brandfortem, daje możność szarpania tyłów, nacierania na boki — i powstrzymy-

wania pochodu. Samej stolicy nie obronią Boerowie orańscy własnemi siłami. Jeżeli Joubert natychmiast po odsieczy Kimberleyu wysłał posiłki koleją do Harrismith, a stamtąd, już drogami zwykłemi, do Winburga, to mogą one w tych dniach stanąć na nowej widowni wojennej, na północo-wschód od Bloemfontein. Samo to miasto ma forty zabezpieczające je od nagłego pochwycenia przez nieprzyjaciela. O linii odwrotowej Cronjego nic nie wiemy, a od niej właśnie zależy pochód Robertsa, jego rytm i szybkość. Ma coś w tem do powiedzenia i natura: wielkie upały, ulewne deszcze, bezwodne pustynie—i one także są nielada strategami w wojnach.

Tydzień polityczny. I Gminy i lordowie żywo się niepokoją: zali Anglia na swą wielkość geograficzną nie za mało ma wojska. Na zapytanie w Izbie lordów d. 11 b. m. minister wojny dał odpowiedź, że w Anglii znajduje się obecnie 98,000 wojsk liniowych, 12,000 rezerwy, 7,000 yeomanry, 77,000 milicyi i 215,000 ochotników. Rząd chce wystawić jeszcze 130,000; tworzy już obecnie trzecie bataliony, a nadto myśli jeszcze o 12. Artyleryi polowej przybędzie 35 bateryj pieszych i 7 konnych. Da to możność wysłania za morze dwóch korpusów zupełnych i zyskania artyleryi dla 3 korpusów, które w kraju zawsze być powinny. Przybędą też baterye haubic. Jazda wzrośnie o 4 nowe pułki regularne i 3 yeomanry. W lecie ministeryum założy nowe obozy dla milicyi. Rząd broni się od systemu rekrutowania. Zaciągi dobrowolne idą doskonale. Rosebery krytykował liczbę 409,000 żołnierzy ang.; są oni tylko na papierze.—Takie same wyjaśnienia w Izbie gmin wzbudziły wątpliwość, czy powoływanie kontyngensów kolonialnych jest stosownem, a pomnożenie armii pożądanem. Obie Izby cieszą się z dalekiego jeszcze terminu systematycznej rekrutacyi. Jeden z lordów dopominał się wprowadzenia ćwiczeń wojskowych do szkół. Izba gmin d. 19-go uchwaliła 13 mil. f. st. na dalszą wojnę, a d. 20 odrzuciła 286 głosami przeciw 152 wniosek Thomasa o nowe śledztwo w sprawach Chamberlaina i Rhodesa. Harcourt popierał wniosek, Chamberlain się oburzał, Izba go pochwaliła.

Anglia krzywi się na dozwalany przez Austro-Węgry wywóz koni dla Transwalu i Oranii.

D. 19 b. m. senat francuski jako sąd najwyższy zaczął sądzić Haberta ze sprawy Deroulede'a, Buffeta i Guerina.

Izba dep. d. 17 b. m. odrzuciła wniosek wyznaczenia komisyi śledczej do zbadania nadużyć dostrzeżonych przez sprawozdawcę Pelletana w zarządzie wojskowym. Gallifet i Waldeck-Rousseau bronili armii w zasadzie, z góry.

Parlament wiedeński, zwołany na 22 b. m., Czesi, mimo komisyi ugodowej, która d. 20 b. m. jeszcze istniała i pracowała, grozili tamowaniem obrad. Dzienniki wiedeńskie ogłaszają projekt ustawy językowej dla Moraw, ułożony przez rząd. W komisyi porozumiano się co do języka autonomicznego i reformy wyborczej w Czechach. P. Biliński zostaje gubernatorem banku austro-węgierskiego. Piękne emolumenta! Powinszować.

Ks. Henryka pruskiego cesarz Wilhelm z niesłychaną paradą i sam powitał i poddanym powitać zalecił: chodziło o flotę.

Rząd pruski sprowadza do wschodnich prowincyi państwa 20,000 Włochów, aby tylko nie wpuszczać Polaków.

Według *Frankfurter Ztng* Rosya podejmuje budowę kolei z Erzeramu do Karsu i innych jeszcze w Azyi Mniejszej.

W Bukareszcie Bulgarowie zamordowali szpicga tureckiego. Jeden ze sprawców, Bojko Ilicz, jakoby przyznać się miał do zamordowania w r. 1896 Stambułowa.

Z Guatemali nadchodzi wiadomość o jakimś rozruchu, po którym prezydent Cabrera nakazał strzelać — nawet do dzieci.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OFICYALIŚCI.

II.

Pan Jelski sprawę uregulowania stosunku zarobkodawców do oficyalistów wiejskich rozsnuwa na podłożu moralnem i traktuje w duchu chrześciańskim. Ponieważ posiadacze ziemscy, zdaniem jego, są czołem społeczeństwa, a oficyaliści ich współpracownikami, więc należy stworzyć taką spółkę okonomiczno-etyczną, w której właściciele ziemscy i oficyaliści powinni iść ręka w rękę, dbać o dobro rolnictwa, a raczej danego majątku ziemskiego, jakby to była ich wspólna własność. Ale przykład musi płynąć z góry. P. Jelski wytyka życie nad stan, chciwość i wogóle demoralizacyę oficyalistów; źródło zaś tych strasznych przywar odnajduje — w naśladownictwie. Te same wady, tylko w wyższym stopniu, posiada znaczna część szlachty, zwłaszcza wielka magnaterya. „Wszystkie wygórowane wymagania panów oficyalistów, bez względu na czas krytyczny dla gospodarstwa rolnego, mają niezawodnie poważne źródło w życiu często bezmyślnem i nad stan prowadzonem większości samych dziedziców. Taki przykład oczywiście nie mógł i nie może wzbudzać w pomocnikach szacunku dla pryncypałów; nie może ich zobowiązywać, uczyć oszczędności, miłości kraju własnego i służenia mu z zasady całą duszą. Gdyby dziedzice ukształceni specyalnie rządzili się w swych dodrach całkiem rzetelnie, mieliby i współpracowników według swej modły. Skąpstwo w tym zreformowanym systemie nie miałoby już miejsca; ale szerokość skali życia dziedziców i współpracowników ich musiałaby się zwęzić stanowczo, zwłaszcza pod względem szanowania czasu, tj. obracania go całkiem na naukę, wytwórczość i wypełnianie świętych obowiązków stanu."

Pomijamy kazania p. Jelskiego, jego mrzonki i dążność do zreformowania urządzeń społecznych za pomocą szczególnych systemów „pedagogicznych," zastosowanych przez stan ziemiański do oficyalistów. Pomijamy tę całą gmatwaninę morałów i komunałów, polanych obficie sosem gadulstwa starego szlachcica; ale natomiast słów kilka poświęcić musimy jego wnioskom konkretnym. Autor żąda „opodatkowania dobrowolnego większej i średniej własności ziemskiej dla utworzenia kapitału emerytalnego na rzecz uczciwie wysłużonych oficyalistów wszelkich kategoryj, sług i robotników warsztatu rolnego." Gdyby kilku zacnych magnatów (p. Jelski dodaje: „chcę wierzyć, iż są tacy") złożyło wielką sumę, bodaj milion lub więcej, a ziemiaństwo całe, czy też znaczna

---

5)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

Koko.

Straszy mnie szubienicą, jak wróbla czapką na kiju i sądzi, że mnie przerazi. A ja widzę, jak historya otwiera księgę i pisze: „W r. 1000 od narodzenia Arjosa okrutny, niesyty krwi ludzkiej Wyrod IV kazał powiesić swego ulubionego błazna, ale była to ostatnia jego ofiara, bo nazajutrz sam padł pod tchnieniem zarazy."

Król.

Koko! Skąd wiesz o tem? Dlaczego zaraza ma mnie zabić?

Koko.

A cóż to myślisz, miłościwy panie, że ją spalisz lub powiesisz, że ona ciebie się zlęknie? Ona drwi ze wszystkich majestatów i więcej ma szacunku dla zdrowego chłopa, niż dla charłaczego króla.

Król.

Trudno, musisz zginąć — i to dziś, dziś koniecznie.

Koko.

Spiesz się, najdobrotliwszy panie, bo może jutro już nie będziesz nikomu rozkazywał.

Król.

Czyżby ten łotr był rzeczywiście jasnowidzem? Powiedz, żeś tylko żartował.

Koko.

Bynajmniej. Pewna wróżka powiedziała mi, że jeszcze dzwony po moim pogrzebie nie przestaną się kołysać, kiedy znowu dla mego pana bić zaczną.

Król.

Kłamiesz, jadowity robaku, tego ci nie mówiła żadna wróżka, ja nie umrę, chociaż ciebie ziemia już zupełnie strawi, ja...

Koko.

Najjaśniejszy panie, nie zabijaj się dobrowolnie; pamiętaj o ostrzeżeniu lekarza, że podczas zarazy nie należy się gniewać.

Król.

Więc czemu mnie drażnisz?

Koko.

To toż każ mnie, panie, co prędzej powiesić i znajdź sobie błazna, który ci będzie mówił, żeś potężniejszy od dżumy. Proszę cię tylko o jedną łaskę: niech mi do każdej ręki i nogi przyczepią na pętlicy po jednym twoim ministrze. Właśnie od nich słyszałem wczoraj, że głód jest grzeczniejszy, bo oszczędza możnych, ale brutalna zaraza dusi ich jak żebraków; że pierwszy zamordował dopiero 50,000 ludzi, a druga już 100,000, że po polach, drogach, ulicach biegają wystraszone tłumy z sinemi ustami, z obłędem w oczach, z ciałem opadającem...

Król.

Dosyć, dosyć! Podaj mi wina!

Koko nalał mu kieliszek.

Koko.

Przebacz mi, najukochańszy panie. Już nie wspomnę o tej paskudnicy i będę mówił tylko o rzeczach wesołych. Czy ty wiesz, najjaśniejszy panie, dlaczego ja jestem pobożny?

Król.

Nie wiem.

Koko.

Dlatego, że nasz bóg jest kawalerem. Bo zauważyłem w historyi, że bogowie bezżenni dłużej żyją, niż żonaci, a więc nie można liczyć, ażeby nasz prędko umarł i oddał tron innemu, jak król ziemski.

Król.

Strzeż ty się, ażeby o tej twojej pobożności nie usłyszał Dołor.

część jego, zechciała opodatkować siebie na pewną ilość lat, to rzecz byłaby rozstrzygnięta odrazu, tem bardziej, że obciążenie każdego morga ziemi w ciągu lat 25 *jedną kopiejką* tylko, byłoby bodaj dostatecznem dla zebrania kapitału odpowiedniego, któryby jeszcze wzrastał przez zapisy testamentowe i inne.

Taka instytucya emerytalna nie jest atoli wystarczająca. Słusznie tedy autor doradza organizacyę pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy na szerszą skalę. Zadania tego mogłyby się podjąć wszelkie instytucye rolne, mianowicie przy towarzystwach rolniczych i syndykatach powinny powstać biura polecające specyalne. Ale projektodawca stawia bardzo ważny warunek: Kandydaci będą mieli obowiązek wylegitymowania się przedewszystkiem z moralnej swej wartości, w której zakres wchodzi: *absolutna trzeźwość i niegranie w karty*. P. Jelski twierdzi, iż brak tych przywar hańbiących stanowi prawie zupełną rękojmię uczciwości w „klasie służebnej.“ I jeszcze jeden warunek: Należy zobowiązać ziemian słowem obywatelskiem, aby nie wydawali ustępującym oficyalistom świadectw fałszywych „dla odczepnego,“ gdyż to niezmiernie szkodzi sprawie.

Wszystkie wnioski autora dadzą się streścić w następujących żądaniach: 1) emerytura *jedynie dla uczciwych* pracowników, a więc ma to być instytucya nietylko ekonomiczna, lecz i moralna; 2) pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy i 3) zupełna reforma podłoża etycznego w stosunku zarobkodawców i oficyalistów. Któż się zajmie tak olbrzymiemi reformami i od kogo właściwie one się zaczną? Mamy zacnych i światłych ziemian, którzy bardzo chętnie wzięliby się do tej pracy. Ale musieliby rozpocząć ją przedewszystkiem od swego stanu, tj. wyplenić do gruntu te przywary, jakie wymienił p. Jelski. Jest to wszakże robota nad siły nietylko jednostek, ale nawet grup całych. Takie przekształcenie charakterów, takie wyrobienie etyki społecznej — to praca olbrzymia, nadludzka, którą może wykonać tylko fala żywiołowa rozwoju społecznego. Nie łudźmy się więc, że w bliskiej przyszłości właściciele ziemscy i ich oficyaliści będą stanowili zharmonizowaną całość grupy „współpracowników.“ Zarówno jedni, jak i drudzy tworzą bardzo różnorodny żywioł, zajmują najrozmaitsze szczeble moralne i umysłowe. Przedewszystkiem tedy pozostawiając szlachetne złudzenia po za sobą, starajmy się posiąść takie organizacye społeczne, które ułatwią drogę do znośniejszych stosunków, przynajmniej na gruncie ekonomicznym. Nie zapominajmy, że własność ziemska jest ruchomą, a jej posiadacze, zmieniający się coraz częściej, stanowią żywioł bardzo różnorodny. Do rzesz ziemian tradycyjnych wchodzą spekulanci, ludzie częstokroć bardzo wątpliwej wartości moralnej, a nawet niewątpliwe szumowiny społeczne. Czyż wobec tego można myśleć o jednolitem tle etycznem, na którem rozwinęłyby się i wzmocniły zharmonizowane stosunki ziemiańsko-oficyalistyczne?

Natomiast wszelkie zabiegi około naprawy bytu, tworzenie instytucyj ekonomiczno-społecznych, choćby z zabarwieniem etycznem, jak np. dążenie do emerytury po szczeblach uczciwości — są w naszej mocy, więc trzeba w tej mierze działać niezmordowanie. Stworzoną obecnie u nas kasa przezorności może być tylko ulgą w pewnej mierze. Nie da ona ani należytych środków do życia w chwili bieżącej, ani zabezpieczy dostatecznie bytu spracowanych, zniedołężniałych oficyalistów i ich rodzin. Wszelkie więc inne formy urządzeń, zmierzające do tego jednego celu, należy popierać.

W chwili obecnej spostrzegamy pewien nawet dość ożywiony ruch w tym zakresie. O losach oficyalistów myślą i radzą rolnicy w różnych dzielnicach państwa; mianowicie: w sekcyi rolnej warszawskiego oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu, w towarzystwach rolniczych: mińskiem, kijowskiem, witebskiem, mohylewskiem i podolskiem (w Winnicy). Nadto widzimy pewną dążność do naprawy bytu pracowników rolnych w dobrach pojedynczych (ks. Sanguszków, hr. Branickich i Potockich, w ordynacyi hr. Zamojskich itd.). Ruch ten wynika nietylko z pobudek moralnych, lecz i materyalnych: naprawa bytu oficyalistów wiąże się ściśle z naprawą warunków rolnictwa. Wszystkie te pobudki, bez względu, z jakiego płyną źródła, świadczą o pewnem społecznem uświadomieniu ziemian. Jest to objaw bardzo ważny, który należy wyzyskać dla dobra powszechnego.

Z NIEMIEC

Berlin, 14 lutego

Reforma wykształcenia średniego. — Uniwersytet a politechnika. — Teatr ludowy w Schoenebergu.

Jak piorun z pogodnego nieba spadła na filologów zamieszczona w urzędowem piśmie wiadomość, iż władza właściwa postanowiła nieodwołalnie zmienić obecny system wykształcenia średniego. Wprawdzie już przed dziesięciu laty zwołano komisyę do opracowania projektu w tej sprawie. Ale wtedy komisya oświadczyła, że podług niej system klasyczny jest najdoskonalszym na świecie. Rząd ukorzył się przed wyrokiem światłego areopagu pedagogicznego i dał tym razem za wygranę. W przeciągu następnego dziesięciolecia jednak wyszło wyraźnie na jaw, że właściwie klasycyzm panuje tylko na mocy udzielonych mu hojnie przywilejów, gdyż ogół domagał się coraz natarczywiej i głośniej, aby dyplom gimnazyów realnych zastępował w zupełności klasyczne świadectwa dojrzałości. Najlepsi pedagogowie niemieccy, jak np. słynny uczony Paulsen, dowodzili, iż pomiędzy klasycyzmem a trybem życia współczesnego, jego zagadnieniami, prądami i ideałami niema żadnego związku. Należy więc wykształcenie średnie oprzeć na odpowiedniejszej i trwalszej podstawie. I oto teraz rząd oznajmił, iż wybiła ostatnia godzina dla klasycyzmu w szkołach średnich. Fakt ten nikogo nie zadziwiłby, chyba tylko filolo-

---

Koko.

Więc zajmę się innym wydziałem. Ciekawy jestem, co też się stało z naszą armią? Przecież tylu żołnierzy nie wymordowała zaraza, to jest chciałem powiedzieć— nieprzyjaciel. Ontą rozgromił go we wszystkich bitwach, miał wczoraj przybyć do stolicy, a dotąd o nim nie słychać.

Król.

I ja nie pojmuję tej zwłoki. Co za okropny dzień dzisiejszy...

Słychać pukanie.

Koko.

Rozweselimy się zaraz... Ale co to znaczy: dzisiaj środa, a puka sobota. Otworzyć?

Król.

Czego może chcieć hrabina Lagor?

Koko.

W sobotę wiedziałbym, ale dziś...

Król.

Wpuść ją. Zapewne niespokojna o męża.

Koko.

O, i ja tak sądzę.

Odemknął drzwi, przez które weszła kobieta zasłonięta. Gdy Koko oddalił się do sąsiedniej komnaty, hrabiana odrzuciła woal, z pod którego błysła twarz młoda, świeża, ładna, z natury wesoła, obecnie jednak zmącona silnym niepokojem.

Król.

Czemuż zawdzięczam tę niespodziankę?

Hrabina.

Wybacz, najjaśniejszy panie. Nie pozwoliła mi czekać wielka troska i wielka prośba.

Król.

Źle rządzę w mojem państwie, skoro hrabinę Lagor napadają troski. Ale o co chodzi?

Hrabina.

Wczoraj Trybunał Sumienia rozkazał uwięzić kuzyna mojego, Iwona Ryto.

Król.

A! Cóż zrobił ten piękny młodzieniec?

Hrabina.

Nic, a oskarżono go, że zbyt swobodnie objaśniał naukę i życie Arjosa.

Król.

To według ciebie — nic? O, boże, jakże ty możesz być dla nas miłosiernym. Nie dość głodu, nie dość moru, jeszcze niedowiarstwo, ta najstraszniejsza zaraza rozszerza się coraz bardziej.

Hrabina.

Ależ Ryto...

Król.

Moje dziecko miłe, Trybunał bez słusznej przyczyny po nikogo ręki nie wyciąga.

Hrabina.

Przysięgam ci, najjaśniejszy panie, że Iwo niewinny.

Król.

W takim razie, czemu się trwożysz? Usprawiedliwi się i będzie uwolniony.

Hrabina.

Kiedy przed tym okrutnym sądem podobno nikt dotąd się nie usprawiedliwił.

Król.

Żaden grzesznik...

Hrabina.

Alboż my wszyscy nie jesteśmy grzesznikami: i ja, i ty, najjaśniejszy panie?

Król.

Niewątpliwie, i dlatego właśnie powinniśmy zmazywać nasze winy karaniem cudzych, a zwłaszcza tępieniem bluźnierców. Zresztą, nie mówmy już o tem. Szkoda czasu. Oto lepiej nie kryj swoich wdzięków, pieszczotko, zdejm kapelusik i siądź tu przy mnie. Wyglądasz dziś, jak pączek brzoskwini.

Hrabina zdjęła zwierzchnie ubranie i usiadła przy królu, który ją opasał ręką i pocałował.

Hrabina.

Każesz go uwolnić — prawda?

Król.

Bardzo tego pragniesz?

gów, i nie wywołałby całej litanii komentarzy, gdyby nie towarzyszyły mu zaiste godne uwagi okoliczności. Jak pisaliśmy w swoim czasie, politechnika tutejsza zażądała dla siebie prawa promowania swych wychowańców na doktorów. Rząd, pomimo zaciekłego oporu wydziału filozoficznego, uczynił zadość tej prośbie, a przy sposobności zaszczycił uniwersytety kilkoma niedelikatnymi szturchańcami. Politechniki obdarzono względami i wyznaczono im przodujące stanowisko w społeczeństwie i wreszcie narzucono zadania nietylko techniczne, ale nawet i społeczne, dotąd nierozstrzygnięte. Urządzenia dotychczasowe — jak należy się domyślać, uniwersytety — pod tym względem zawiodły. W przyszłości więc rząd liczy na poparcie politechnik. Nagana ta, która niemile dotknęła profesorów uniwersytetu, ma dużo słuszności. Bez wątpienia rzuca się w oczy fakt, iż w porównaniu z czasami dawniejszymi, z okresem burzy w życiu politycznem, profesorowie biorą bardzo słaby udział w sprawach publicznych. Minęły snać bezpowrotnie czasy, kiedy w parlamencie (frankfurckim) zasiadało kilkudziesięciu profesorów, kwiat inteligencyi i narodu. Dziś sejm Rzeszy liczy w swem gronie zaledwie kilku nauczycieli uniwersytetu, piastujących urząd poselski jedynie na mocy tradycyi. Ale za to tem większy wpływ wywierają urzędowi kapłani nauki w obrębie swej właściwej działalności. Duch etyczno-społeczny, który ożywia lepszą część młodzieży niemieckiej, jest ich dziełem. Oni wpajają w swych wychowańców poglądy, nakazujące traktować życie nie jako salon bawialny, knajpę lub dom publiczny, lecz jako uciążliwy i odpowiedzialny posterunek honorowy. Nietylko drogą wykładów i podręczników przesiąkają te zapatrywania do serc młodzieży, ale za pomocą seminaryów, w których pracuje zresztą sporo wykształconych kupców i urzędników średnich, oraz drogą społecznych stowarzyszeń studenckich, w których profesorowie niemieccy, zapraszani przez członków, wygłaszają odczyty. W ten sposób rozbudzili nietylko sumienie społeczne, lecz wychowali nadto pokolenie polityków społecznych. W każdem mieście i miasteczku spotykamy badaczów życia miejscowego. Istnieje np. cały cykl gruntownych monografij, poświęconych rozmaitym gałęziom rzemiosła monachijskiego. Niema co mówić o takich miastach jak Hamburg, Lipsk, Frankfurt i Berlin. Tu każde stowarzyszenie zawodowe ma swego przysięgłego historyka, każde biuro wykazu pracy swego kronikarza, każda klęska wyłącznie miejscowa, swego oskarżyciela literackiego. Słowem na tem polu Niemcy zrobiły olbrzymie postępy, które zawdzięczają wpływowi nauczycieli uniwersyteckich na młodzież. Wogóle stosunek pomiędzy profesorami a młodzieżą jest nacechowany niekłamaną serdecznością. Dzięki temu zaufaniu i przywiązaniu ze strony młodzieży, profesorowie mogą apelować do serca i sumienia słuchaczów. Słowem, kierownicy akademiccy czynią wszystko, co leży w siłach profesora niemieckiego (podkreślam wyraz niemieckiego).

Bądź co bądź, berło wpływów spoczywa dziś wyłącznie w ręku uczonych, mających styczność z teoryą społeczną. Przyrodnicy natomiast postradali zupełnie aureolę, okalającą ich głowy w okresie oświecenia. Co mają zresztą do powiedzenia społeczeństwu fizycy i biologowie? Na czem polegają objawienia Jägerów, Haecklów, Zieglerów i Ammonów?—Kilka darwinistycznych myśli ulotnych, wypowiedzianych na modłę społeczną tak, aby pasowały do kramu tych polityków, którzy w wyrazach „huzia! weź go!" streszczają ideały swej duszy. Jakież nowe prawdy mogą wreszcie oznajmić społeczeństwu politechnicy niemieccy, którzy z dumą poprzedzają swe wykłady sakramentalnem zdaniem: „Panowie! Nauka nasza nie jest na podobieństwo filozofii nauką niechlebodajną. My jesteśmy ludźmi praktyki." Oczywiście przyszli wytwórcy perkalików i szuwaksu z zadowolenia zataczają się od śmiechu. Czy więc ci mężowie praktyczni, niewidzący nic po za swą kieszenią, będą szerzyli ewangelię miłości wszechludzkiej, czyż oni, twórcy wynalazków patentowanych i przyboczna gwardya Saccardów wzniosą się po nad poziom własnych interesów? Na widnokręgu społecznym Niemiec świecą w postaci gwiazd pierwszej wielkości między innymi nazwiska profesorów, lekarzy, filozofów, prawników, lecz techników ani śladu. Zluzowanie uniwersytetów przez politechniki na posterunku społecznym technologowie przyjęli jednogłośnem „Hosanna!" a rektor politechniki szarlottenburskiej wygłosił z tego powodu mowę słuszną o tyle, o ile zawiera napaści na system klasyczny w wychowaniu średniem. Mówca przeprowadził paralelę pomiędzy początkiem stulecia dziewiętnastego a jego schyłkiem. Wówczas klasycyzm stał na wysokości rozkwitu, podczas gdy życie społeczne znajdowało się w stanie uwiądu i nieładu. Dziś, przeciwnie, żyjemy pełni nadziei, wpatrzeni w świetlane szlaki przyszłości, a otuchę swą czerpiemy z przewrotów epokowych, dokonanych w życiu przeważnie dzięki rozwojowi techniki i ujarzmieniu sił przyrody przez człowieka. Klasycyzm, pomimo licznych ustępstw, porobionych duchowi czasu, a zwłaszcza mowie narodu, wyciska wciąż jeszcze swe piętno na programie i tresurze średnich zakładów wychowawczych. Tymczasem młodzieńcy, którzy wychodzą z tych szkół ostemplowani tytułem „dojrzałych" i objuczeni balastem scholastyki, okazują się zupełnie niezdatnymi do pracy technicznej i wogóle do życia praktycznego. Wielki czas uprzątnąć starzyznę, tem bardziej teraz, kiedy technicy nawoływani przez rząd przygotowują się do spełnienia wkładanych na nich obowiązków społecznych. „Przyszłość" — zakończył rektor swą mowę — należy do tej kultury, która sprosta społecznym hasłom czasu, potrafi obok powszechnej powinności wojskowej przeprowadzić powszechny obowiązek pracy, a zarazem pozwoli wszystkim żywiołom narodu wziąć należny podług zasług udział w materyalnym dorobku społeczeństwa."

Wkrótce powstanie w Niemczech teatr, który będzie mógł służyć całemu cywilizowanemu światu za wzór ludowej świątyni sztuki w zupełnem tego słowa znaczeniu. Teatr ten buduje się w Schönebergu, jednem z przedmieść Berlina, i według zapewnień rzeczoznawców, ma być „ostatniem słowem" ruchu, dążącego do demokratyzacyi sztuki. Przedewszystkiem nie będzie on miał ani lóż, ani rzędów krzeseł. Audytoryum wypełni amfiteatr siedzeń po cenach jednakowych i bardzo nizkich. Jedna z bocznych sal będzie przeznaczoną dla koncertów popularnych, druga dla wieczorków muzykalno-deklamacyjnych, poświęconych pamięci poetów i kompozytorów; inna zaś będzie służyła za schronienie dla ludowych wystaw sztuk pięknych, a w dodatku pewna część gmachu pomieści w sobie bibliotekę ludową, do której publiczność będzie zawsze miała wstęp. Już sama firma, zakładająca teatr, daje rękojmię powodzenia moralnego, a nawet i materyalnego. Jest to towarzystwo akcyjne, mające na widoku wyłącznie zysk pieniężny. Dyrekcyę teatru objął znany

---

Hrabina.

Ach, bardzo.

Król.

To go już nigdy nie zobaczysz.

Hrabina odsunęła się i spojrzała bystro w bladą twarz króla, na której migał ironiczny uśmiech.

Hrabina.

Co to znaczy?

Król.

To znaczy, że on cię zbyt obchodzi i musi być za to ukarany, chociażby był prawowierniejszym, niż arcykapłan.

Hrabina.

Mylisz się, najjaśniejszy panie.

Król.

Nie mylę się, kochanko, gdyż wiem daleko więcej, niż przypuszczasz. Postępuję, jak roztropny ogrodnik, któremu szkodliwy owad nakłuwa różę, ażeby w niej złożyć swoje jajka. Nie dziwię się ani temu, że Ryto pokochał ciebie, ani temu, że ty pokochałaś urodziwego młodzieńca, ale go usunę.

Hrabina.

Szczególna zazdrość! Czemuż nie usuniesz mojego męża, który chyba ci bardziej zawadza?

Król.

Szanuję jego prawo pierwszeństwa. Zresztą mężem twoim być nie mogę, a kochankiem jestem. Trzeci między nami przy tobie zbyteczny.

Hrabina.

Ale ten trzeci ma o tyle związek ze mną, o ile jest moim kuzynem.

Król.

Bardzo dalekim, a chce być bardzo blizkim. Trudno, moja droga: każdy z nas broni się tą siłą, jaką posiada. Gdybym był nim, walczyłbym o ciebie urodą i młodością, a ponieważ jestem królem, więc walczę moją władzą. Naiwny, sądził, że mnie pokona. Zapomniał, biedaczek, że nawet najbrzydszy i najstarszy król jest jeszcze niebezpiecznym współzawodnikiem najpiękniejszego i najmłodszego zalotnika.

Hrabina.

Więc każesz go stracić?

Król.

Powierzę go opiece Trybunału Sumienia.

Hrabina.

Okrutnik!

Król.

Moje dziecko, przestań no na chwilę deklamować.

Do komnaty zaczął się wlewać szum rytmiczny dźwięków, który coraz bardziej nabrzmiewał, wreszcie uderzył wyraźną melodyą marsza.

Co to za wojsko idzie z muzyką?

Wpadł Koko.

Koko.

Armia nasza wraca. Prowadzi ją hrabia Lagor.

Hrabina.

Mój mąż!

Ubrała się szybko.

Sądzę, najjaśniejszy panie, że w tak uroczystym dniu będziesz wspaniałomyślnym.

Król.

Bądź spokojna. Nagrodzę twego męża.

Hrabina znikła we drzwiach, któremi weszła.

Dlaczego mnie nie uprzedzono... Książę Onto zbyt wysoko podniósł głowę... Nawet nie jedzie na czele armii... Zawołaj mi szatnego do ubieralni.

Wybiegł. Koko podążył za nim, ale wkrótce wrócił.

Koko.

A to ma dziś niespodzianki! Sobota przychodzi w środę, a kiedy zwycięzki kochanek pokonywa cudzą żonę, zwycięzki jej mąż przyprowadza mu z wojny jeńców i łupy. Śliczna równowaga wzajemnych usług! Za trudy zastępowania go przy małżonce wywdzięczył mu się zastępstwem w wygry-

szermierz sztuki demokratycznej, Rafał Löwenfeld. *H. F.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Zaraza.

Karnawał należy do tych momentów życia, w których ludzie, rzeczy, stosunki najbardziej odwracają się w swej wartości: co jest zwykle wielkiem — staje się małem i przeciwnie, co jest błahem — staje się ważnem. Wtedy młody aplikant patrzy z góry na filozofa, zręczny ruch nogami uchodzi za najwyższy talent, a strojna suknia — za najwspanialszą ozdobę kobiety. Jak jest w roku pora skruchy, koncertów, nocnych nabożeństw, letnich wycieczek, tak jest pora szału. Przechodzą przez nią wszystkie społeczeństwa, chociaż może my oddajemy się karnawałowi najgoręcej. Tańczymy młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, weseli i smutni — dla przyjemności, dla filantropii, dla sztuki, nauki — jest to najgłówniejsze źródło zadowoleń i najpowszechniejszy sposób szybkiego rozwiązywania codziennych zagadnień życia.

Cokolwiek możnaby powiedzieć przeciwko temu szałowi, a zwłaszcza przeciwko tej postaci spełniania obowiązków społecznych, wolimy karnawał z całą jego zapamiętałością, a nawet obłudą, niż tę chroniczną chorobę, która trwa bez przerwy, niż grę w karty. Wszystkie dziennikarskie leki i kazania, wszystkie (jak w Poznańskiem) zorganizowane wysiłki, zwalczające ten okropny nałóg, nie odniosły skutku. Grają młodzi i starzy, zdrowi i słabi, biedni i bogaci, mężczyźni i kobiety. Co wieczór w klubach, resursach, zamożnych domach, skromnych mieszkaniach, suterenach, poddaszach odbywa się to bezmyślne „zabijanie czasu," którego brak na poważną pracę i szlachetną rozrywkę, to wyjaławianie mózgów, ozięblanie serc a rozpalanie niskich namiętności. Z pokoleń starszych zaraza przesiąka do młodszych. Kilkunastoletni chłopcy, którzy od dzieciństwa widzieli swych ojców, stryjów, wujów a często matki, ciotki, starszych braci i siostry, spędzających całe godziny przy zielonym stoliku, ci młodzieńcy, którzy wprzódy nauczyli się *preferansów, wintów, lotusów, szlemów, gwoździ, przykupek* itd., niż znaków algebraicznych, idą „za przykładem bogów." Mniejsza o to, że niejeden z nich przegra pieniądze na śniadanie, obiad lub buty, mniejsza nawet o to, że się obciąży długiem, ale jaką on duszę wniesie do późniejszego życia, gdy ją tak wcześnie napoi wpływami złego nałogu! Czego można spodziewać się po człowieku, który wtedy, kiedy powinien swe oskrzydlone myśli i uczucia puszczać w górne szlaki, zużywał je i znieprawiał w kombinacyach i wybiegach karcianych? Z pewnością jeśli zostanie prawnikiem, będzie prowadził bez skrupułu szachrajskie procesy, jeśli zostanie lekarzem, będzie z nędzy wysłuchiwał i wypukiwał ruble, jeśli zostanie technikiem, inżenierem, przemysłowcem — będzie wyzyskiwał, oszukiwał i smarował swe ręce łapowniczym klejem — a w wolnych chwilach od połowu korzyści... grał w karty. Niestety, ta zaraza przerzuca się coraz szerzej na młodzież, śród której jednostki lepsze same skarżą się nam na moralny upadek swych kolegów. Uczniowie jednej ze szkół średnich na prowincyi zwrócili się do nas z prośbą o publiczną przestrogę, ale czy nasz głos dojdzie do chłopców, którzy w zadymionych izbach przez całe noce grają w winta i rano nieprzygotowani, niewyspani, a nadewszystko przepaleni złym ogniem idą na lekcyę? Czy ten głos dojdzie do ich rodziców, którzy tak niedbale czuwają nad swymi synami? Bodajby, bodajby jedni i drudzy pomyśleli nietylko nad sobą, ale nad społeczeństwem, którego cząstkę losów niosą w swych umysłach i sercach.

Czy to prawda?

P. Albin Rudzki — jeśli nas pamięć nie myli, nie po raz pierwszy — twierdzi publicznie (w *Słowie)*, że dzięki regulacyi Wisły pod Sandomierzem, która kosztuje już przeszło cztery miliony rubli, koryto rzeki jest szersze i płytsze, przez cały rok ani jeden galar nie stanął u brzegów, bo niema swobodnych lądów do ładunku, powyżej Sandomierza tworzą się zatory, grożące klęską przyległym polom, spadek wody zmniejszono i utrudniono, tamy pobudowano bezsensownie itd. Oskarżenie to jest zbyt ciężkie, ażebyśmy je mogli przyjmować na wiarę bez krytyki i zastrzeżeń: ale dlatego, że jest ciężkie i niepokojące, powinno wywołać z przeciwnej strony wyjaśniającą odpowiedź. Chodzi zaś nietylko o to, czy „90-wiorstowy zator" rzeczywiście wznieca obawę klęski, ale czy on istotnie powstał z błędów inżenieryi i czy wogóle ona zmarnowała 4 miliony rubli, wydane na regulacyę Wisły? Z tej poważnej sprawy powinny być usunięte — o ile można — wszelkie wątpliwości.

Ostatni „interview."

Między dzwonkami błazeńskiej czapeczki naszego wieku najczęściej odzywają się t. z. „interviewy." Początkowo dziennikarze wciskali się do mężów stanu i usiłowali podstępną rozmową wydobyć z nich tajemnice polityczne, przyczem zawsze sprawdzano słuszność przysłowia: złapał kozak tatarzyna — a tatarzyn za łeb trzyma. Dziennikarz wylatywał z gabinetu ministeryalnego jako lis, a okazywało się, że wyleciał jako dudek. Następnie interviewerzy zaczęli napastować uczonych, poetów, artystów itp., a gdy tych wyczerpano—pompowali wzajemnie siebie. Wtedy czytywaliśmy publicznie ogłaszane rozmowy nicości umysłowych, wypowiadających swoje poglądy na najważniejsze sprawy świata. Dziś reporter Paweł był subjektem, a reporter Gaweł — objektem, jutro odwrotnie, zupełnie jak dziś Janek jest koniem a Józio furmanem, jutro zaś Józio koniem a Janek furmanem. Doszło wreszcie do tego, że aktorki badano, jakie zajmują stanowisko wobec zawikłań międzynarodowych, malarzów — jak się zapatrują na długość dnia roboczego, a przemysłowców — co myślą o modernistach. W ostatnich czasach ze szczególnem upodobaniem zaczepiano „gwiazdy" teatralne. „Interview" jest to taka rozmowa, której nigdy ogłaszać nie warto i która zawsze wywołuje sprostowanie „słów niedokładnie powtórzonych." Świeżo zdarzyło się to z goszczącą w Petersburgu śpiewaczką warszawską, p. Kruszelnicką. Jakiś reporter polski zapytał ją, czy ona bardziej tęskni do Włoch, czy do Warszawy. Miała odrzec, że do Włoch, a gdy ta odpowiedź „zrobiła wrażenie," artystka zażądała sprostowania swoich słów, reporter przyznał, że p. K. tęskni do Włoch, ale również tęskni do Warszawy. I Warszawa, która była bardzo zmartwiona — lekko odetchnęła. A zatem bądźmy spokojni: *quand Jean-Bête est mort, il a laissé bien des*

---

waniu bitew. Chociaż Lagor mógł był się nieco spóźnić z dowodami swej wdzięczności. Szlachetny pan jednak oceni dobre chęci wiernego sługi i nie powie mu z dumnym gniewem: „Mości hrabio, ja ci nie przeszkadzałem w twoich tryumfach." Ale to da się jeszcze wynagrodzić, aby tylko mój drżący pogromca kobiet zatamował w sobie upływ zdrowia i sił, które mu już nie wyciekają kroplami, ale wylewają się strumieniami. Mam nadzieję, że go wkrotce wzmocnią pokrzepiające rozkosze. Jutro zaczniemy się nadymać przed pokonanymi lennikami i łaskawie skazywać ich na więzienie lub haracze; potem sprowadzimy sobie Arcykapłana i będziemy przy nim smażyli niedowiarków; potem urządzimy dla niego polowanie na opętanych; potem on za te przyjemności zdejmie nam z głowy koronę królewską i włoży cesarską, czego bóg już dawno sobie życzy. Wyobrażam sobie, jak mój zdezelowany grat będzie dziś słodko marzył, gdy się wieczorem położy do łóżka, a orkiestra na galeryi w kopule będzie mu przygrywała do snu rzewne melodye. Czy też on w niebie będzie miał przywileje? E, chyba nie. Zresztą nie trzeba ryzykować, wolę go tu obrobić... to pewniejsze. Ja mu w moim śmiechu rozpuszczę tak skuteczną truciznę, że dostanie nieprzerwanej czkawki, która go zadusi. Wyrzecze się kobiet i będzie bałamucił melancholię, która go ostatecznie zniszczy. Koko nie zapomniał, że był poetą, żeś mu wyrwał z ręki lirę, odciął go od rodziny, obdarł z godności człowieka i zamienił na fontannę dla orzeźwiania twojej suchej duszy. Ty myślisz, że ja patrzę szklannemi oczami na twoje okrucieństwa i rozpustę, że moje serce, łechtane widokiem tłumów umierających z głodu i mordowanych za swą wiarę, parska śmiechem! Poczekaj, synku! Położę ja cię w kołysce blaszanej z zapaloną pod spodem lampką, na poduszeczkach delikatnemi szpilkami wypchanych, okryję skórką liszajowatego baranka, napoję mlekiem od karbunkułowej krowy, będę cię kołysał i śpiewał takie piosenki, że przy nich będziesz tylko na chwilę zasypiał i budził się z krzykiem przestrachu.

Patrzy w drzwi, wiodące do ubieralni.

Wystroił się w jedwabie i złoto — i sądzi, że jest monarchą. Gdyby mu odjąć Onta, przestałby być walecznym, gdyby go pozbawić inkwizytora — nie byłby religijnym, a gdyby mu zabrać kanclerza — nie umiałby nawet być okrutnym. Pasorzyt cudzej sławy i złodziej cudzych zasług. Jakie groźne i dumne miny przybiera przed lustrem! Ani przypuszcza, że mój trzewik, ubrany w jego łańcuchy i ordery, miałby tyleż majestatu, co on.

Wszedł król

Ach, najjaśniejszy panie, jakże wspaniale wyglądasz! Oczy niby dwa słońca, których blasku wytrzymać nie można, a nad ustami zawisł obłok, w którym drżą pioruny czekające twej woli. Kto dziś nie ukorzy się przed twą władzą, ten uklęknie przed twym urokiem. Możesz przyjmować od swych poddanych, co chcesz: posłuszeństwo lub miłość.

Król pogłaskał Koka po głowie.

Król.

Dziś będę miał dużo zajęcia, więc na cały dzień jesteś wolny.

Koko.

Dziękuję ci, najlepszy panie. Wybiegnę sobie za miasto i zobaczę tych głodomorów, co wygrzebują na polach korzenie dzikiego chrzanu i jedzą.

Król.

Lepiej nie wydalaj się z miasta.

(C. d. n.).

herdiers. Ród Jean-Bete'a u nas nigdy nie wyginie.

Próba wyzysku

Księgarnia Teodora Paprockiego i S-ki za pośrednictwem *Wędrowca* (czytaj: znany ze swych pomysłów wydawniczych p. Saturnin Sikorski za pośrednictwem — tegoż p. Sikorskiego) ogłasza aż cztery konkursy literackie, przeznaczając na „nagrody" rb. 2,000.

Najlepsza powieść historyczna z dziejów naszych, napisana *barwnie* i *żywotnie*, stanowiąca zamkniętą w sobie całość, objętości najwyżej dwóch tomów zwykłej szesnastki, otrzyma „nagrodę" w wysokości 700 rb. Za najlepszą powieść obyczajowo-społeczną przyznana ma być — nagroda również — w sumie rb. 500. Dla najlepszych powieści dla młodzieży płci obojga, w wieku od lat 14 do 17, napisanych „barwnie, żywo i pouczająco," objętości najwyżej 15 arkuszy druku, ustanowiono dwie nagrody (rb. 250 i 150). Dwie nagrody, w wysokości rb. 300 i 150, uwieńczyć mają także dwa najlepsze dzieła ilustrowane z zakresu rękodzielnictwa (popularnie napisany podręcznik do nauki jednego z sześciu rzemiosł, objętości nie większej nad 20 arkuszy druku).

Po wyszczególnieniu warunków konkursu znajdujemy wyjaśnienie, głoszące, że literatura nasza posiada „nader niewiele" powieści dla młodzieży, więc, ogłaszając konkurs niniejszy, księgarnia T. Paprockiego i S-ki pragnie przyczynić się do ożywienia działalności pisarskiej w tej dziedzinie. A tuż obok wychyla się skromny, jak fiołek, dodateczek, że nagrodzone pierwszą i drugą nagrodą prace *pozostają własnością księgarni* i będą wydane w najkrótszym czasie.

Za pozwoleniem, szanowni panowie, racz-cie wyjaśnić, co ta cała komedya ma znaczyć? Wolno wam reklamować siebie i swoje wydawnictwa we wszelki możliwy sposób, nawet drogą konkursów, podejmowanych rzekomo dla dobra literatury; wolno wam robić na autorach brylantowe nawet interesy, ale zamydlanie oczu publiczności musi mieć pewne granice.

Ogłaszając konkurs, trzeba koniecznie ustanowić nagrodę, chociażby miał nią być tylko klasyczny wieniec z wawrzynu albo sośniny. W konkursie *Wędrowca* nagród niema wcale, gdyż cyfry rubli, odgrywające ich rolę, mogą być uważane co najwyżej za skromny bardzo równoważnik honoraryów autorskich, które księgarnia p. S. Sikorskiego i S-ki ma ochotę wypłacić za prawo własności szeregu „barwnych i żywotnych" dzieł z zakresu literatury pięknej oraz pewnej liczby pożytecznych podręczników do nauki rzemiosł. Lecz w takim razie po co ten cały hałas konkursowy? Wystarczy zwykłe ogłoszenie handlowe.

Trzeba być bardzo naiwnym (o naiwność jednak za nic w świecie nie ośmieliłbym się posądzić właścicieli firmy Teodora Paprockiego i S-ki), aby nie rozumieć, że za dobrą *jednotomową* powieść społeczną lub historyczną można nawet w naszych opłakanych stosunkach wydawniczych otrzymać trochę więcej, niż proponowane w warunkach konkursu rb. 500 czy nawet 700. Za dobrą powieść dla młodzieży, o które u nas, istotnie niełatwo, każdy tygodnik dziecięcy zapłaci chętnie rb. 150 i nawet znacznie więcej, zależnie od rozmiaru dzieła, nie mając wcale pretensyi do wydania książkowego i prawa wieczystej własności utworu. Więc gdzież w takim razie podziewają się szumne „nagrody" konkursowe pomysłowej księgarni?

W ogłoszeniu *Wędrowca* wszystkie organy prasy proszone są o powtórzenie warunków konkursu. Rzeczywiście, powinny one to zrobić, ale jedynie — w celu ostrzeżenia świata piszącego przed jawną próbą wyzysku. *ak.*

BADANIA NAUKOWE

Z SOCYOLOGII.

Gustaw Le Bon: *Psychologie du socialisme* 1899.

Le Bon jest jednym z najgłębszych myślicieli naszego czasu: każde jego dzieło to prawdziwy wypadek w świecie nauki. Ostatnie, którego tytuł umieściliśmy w nagłówku, poświęcił krytyce namiętnej socyalizmu, którą oparł na względach ekonomicznych i psychologicznych. Przedstawimy każdą z osobna, rozpoczynając od ekonomicznych. Le Bon oddawna już, być może, pierwszy z socyologów zwrócił pilną uwagę na walki ekonomiczne, które się zarysowują coraz groźniej pomiędzy Zachodem a Wschodem. Rozwój środków komunikacyi i przemysłu zbliżył te oddalone niegdyś od siebie obszary i wytworzył między nimi współzawodnictwo. Ludy wschodnie, otrzymawszy z Europy maszyny, zaczynają same wyrabiać towary, które dawniej musiały przywozić z zagranicy. Wytwarzają już nawet na wywóz i to im się udaje tem łatwiej, że koszty produkcyi towarów są u nich daleko mniejsze, niż w Europie. Robotnik wschodni poprzestaje na płacy 4—5 sou, gdy europejski wymaga 4—5 franków dziennie.

Indye, Japonia, a po części i Chiny weszły już na drogę wielkiego przemysłu. Wytwory europejskie coraz bardziej tracą tamtejsze rynki, a wytwory wschodnie przypływają do Europy.

Przez długi czas konkurencya ta dotyczyła głównie produktów rolniczych i w ciągu lat 20 zniżyła o połowę wartość zboża, wina, alkoholu, cukru itd. Wełna np., która kosztowała 2 fr. za klg. w r. 1882, kosztuje obecnie tylko franka, cena słoniny spadła z 95 do 42 fr. itd. Co do zboża, spadek cen jest tak wielki, iż niektóre państwa europejskie będą musiały się wyrzec rolnictwa. Dzieje się to przedewszystkiem w Anglii, która musi walczyć jednocześnie ze zbożem z Indyi i Ameryki. To też pomimo niesłychanych udoskonaleń technicznych, które doprowadziły wydajność ziemi do 29 hektolitrów z hektara, Anglia coraz bardziej wyrzeka się produkcyi zboża. Wytwarza ona obecnie około 23 milionów hektolitrów, gdy spożycie wynosi rocznie 85 mil. hekt. Należy więc sprowadzać z zagranicy koło 60 mil. hekt. Co się tyczy Francyi, to mogła ona dotychczas prowadzić walkę na tem polu tylko dzięki cłom ochronnym, ale tych przecież bez końca podwyższać nie sposób i dlatego będzie musiała pierwej czy później uledz. Obecnie Francya wytwarza średnio 100 milionów hektolitrów, sprzedawanych po cenie 18 fr. za 100 klg. Cena ta jest sztuczną, albowiem zawiera 7 fr. cła; wartość rzeczywista wynosi więc tylko 11 fr. Otóż cena ta zczasem coraz bardziej spadać musi, gdyż Argentyna wytwarza już zboże po 5 fr. za hektolitr.

Z tego wniosek, iż cła są nietylko zwykłym rabunkiem względem spożywcy francuskiego, ale powstrzymują zarazem sztucznie postępy rolnictwa we Francyi, uwalniając je od konkurencyi zagranicznej. Ponieważ kraj ten spożywa rocznie 120 milionów hektolitrów, same tedy cła stanowią 840 milionów franków, płaconych przez ludność na korzyść drobnej garstki wielkich właścicieli ziemskich, gdyż drobni wytwarzają tylko tyle, ile sami spożywają. Otóż oczywiście, z rozwojem demokracyi, ta niesprawiedliwość nie może długo trwać i żaden rząd wkrótce nie będzie mógł utrzymać dłużej tej sztucznej drożyzny chleba.

Do upadku rolnictwa europejskiego przyczynił się mniej Wschód, wstępujący dopiero na drogę konkurencyi, niż Ameryka. Niedalekim jednak jest czas, gdy sama Ameryka nawet nie zdoła się utrzymać w walce z Wschodem, gdzie ziemia także nic nie kosztuje, ale zato robotnik jest dziesięć razy tańszy, niż w St. Zjednoczonych, które już obecnie znajdują się prawie w takim samem położeniu, co i Anglia pod względem produkcyi rolniczej. Są miejscowości w Ameryce, gdzie fermy, sprzedawano dawniej po cenie 300 dolarów za akr, obecnie nabyć można po 10 dol. za akr. Cła zaś ochronne w niczem temu położeniu rzeczy zaradzić nie mogą, albowiem Amerykanie wysyłają zboże, protekcyonizm nie może więc uchronić ich od tego, aby się nie spotkali na rynkach obcych z konkurencyą Indyi.

Walka między Wschodem a Zachodem porywała początkowo tylko rolnictwo, obecnie zaś wciągnęła i przemysł. W Indyach i Japonii robotnik fabryczny otrzymuje 5 sou dziennie, a pod-dyrektor fabryki, zajmującej 1,500 robotników, pobiera w Kalkucie 20 franków miesięcznie. Przy tak bajecznie nizkich kosztach wytwarzania, nic dziwnego, iż wywóz Indyj wzrósł w ciągu lat dziesięciu z 712 milionów do 4 miliardów.

Dodajmy wreszcie, iż Indye posiadają mało węgli, natomiast Japonia ma ich wielki zasób, może więc wywozić ten towar po cenie o połowę tańszej, niż Anglia, dlatego też postępy przemysłowe Japonii są jeszcze znaczniejsze, niż Indyi. Tamtej wystarcza istotnie kupować maszyny europejskie, by po pewnym czasie stanąć na stopie równości z Zachodem. Japonia posiada obecnie olbrzymie zakłady tkackie, w których po 6,000 robotników pracuje dzień i noc, przyczem płaca nie przewyższa średnio 50 cent. dziennie w srebrze (którego wartość jest o połowę niższa, niż złota). Według danych, zebranych przez p. Hanabusa, szefa sekcyi statystycznej, płaca średnia robotnika rolnego wynosi tylko 32 centimy dziennie. W miastach jest wyższa.

Nic dziwnego, iż przy warunkach tak dogodnych fabryki japońskie udzielają średnio 10—20% dywidendy, gdy w Anglii takie same fabryki dają już tylko 3%, a niektóre mniej jeszcze, dlatego, iż wywóz ich, dzięki konkurencyi wschodniej, z dniem każdym się zmniejsza. Japonia wyrabia obecnie zegarki, fajanse, papier, perfumerye i nawet t. z. „articles de Paris." Wytwory europejskie są w ten sposób coraz bardziej wypierane ze Wschodu. Anglicy wywozili dawniej zapałek za 600,000 fr. rocznie, obecnie tylko za 10,000 fr. Tymczasem Japonia, zaczynając od sumki nieznacznej, w ciągu lat kilku doprowadziła produkcyę zapałek do 2,275,000 fr., przyczem sprzedaje 144 paczek za 1 franka, czyli 15 za 10 cent. W r. 1890 Japończycy sprzedali za 700 fr. parasoli, w 1895 za 1,309,000 fr. — toż samo powiedzieć można o wszystkich innych wytwarzanych tam towarach.

Z początku Japończycy wywozili swe wyroby na okrętach europejskich, obecnie — na własnych. Są to wielkie statki, oświetlone elektrycznością, zbudowane według najnowszych wzorów europejskich. Jedna kampania posiada ich 47, które zwycięzko współzawodniczą z francuskimi i angielskimi, albowiem majtkowie japońscy otrzymują tylko 10 fr. miesięcznie i mogą wyżywić się kilku workami ryżu.

Chiny pozostały dotychczas w tyle za Japonią, ale i one zaczynają wstępować na tę drogę. Można przewidywać, iż z olbrzymią swą ludnością, mającą bardzo skromne potrzeby, z kolosalnymi zapasami węgla staną się wkrótce pierwszorzędnem ogniskiem przemysłowem świata i że

giełda pekińska ustanawiać będzie ceny na rynku wszechświatowym, gdyż tam będą one najniższe.

Nawet Amerykanie czuli, iż z tą konkurencyą nie mogą walczyć i musieli poprzestać na wyparciu Chińczyków ze swego terytoryum. Nie dalekim jest czas, gdy statki handlowe europejskie będą rzadkością na morzach wschodnich. Zniżka wartości srebra na Zachodzie utrudniła mu współzawodnictwo; na Wschodzie zaś wartość ta pozostała nienaruszoną. Gdy kupiec indyjski, japoński lub chiński wysyła do Europy za 1,000 fr. towaru, otrzymuje 1,000 fr. w złocie, które warte są 2,000 w srebrze. Prawda, iż dlatego właśnie musi on płacić podwójnie za towary europejskie, dlatego też stara się kupować w Europie jaknajmniej, a sprzedawać jak najwięcej.

Handel europejski musi tedy wymieniać towary, których koszty wytwarzania są 20 razy droższe, niż na Wschodzie i płacone złotem, na towary 20 razy tańsze i płacone srebrem. Wymiana tego rodzaju nie może trwać długo, a jeżeli trwa, to tylko dlatego, że organizacya techniczna Wschodu nie jest jeszcze doskonałą. W niedalekiej jednak przyszłości Europa straci swą klientelę wschodnią, tak samo, jak straciła amerykańską.

Inne jeszcze przyczyny pogorszą położenie państw zachodnio-europejskich. Gdy kolej Trans-syberyjska będzie wykończoną, cały handel między Wschodem a Zachodem skupi się w rękach Rosyi. Kolej ta, przechodząc przez część Chin, połączy Rosyę z Japonią. Sto trzydzieści milionów ludności w państwie rosyjskiem będzie wówczas miało do czynienia z 400 milionami Chińczyków. Rosya stanie się pierwszorzędnem państwem handlowem. Z Londynu do Hong-Kongu droga trwa dziś morzem 36 dni. Kolej Trans-syberyjska wymagać będzie tylko 18. Droga morska będzie więc z konieczności zarzuconą i można się zapytać, na co Anglii wówczas się przyda jej flota handlowa. Francya zaś straci resztki swego handlu. Po całkowitem skończeniu kolei Syberyjskiej, Rosya stanie się panią wszechwładną Chin i ich 400 milionów mieszkańców, a ponieważ ma ona system celny potężnie rozwinięty, więc cały Wschód zamknięty będzie dla Europy. Rosya stanie się wówczas najpotężniejszem państwem świata, i zaabsorbuje pewno Indye i Indo-Chiny, jak to już uczyniła z Mandżuryą.

Jedna tylko okoliczność, podbój przez Stany Zjednoczone Filipinów tak bliskich Chin, potrafi opóźnić fatalny ruch historyczny, gdyż Stany Zjednoczone wejdą w jądro kwestyi chińskiej, na którą słaba Hiszpania żadnego wpływu mieć nie mogła. Stany Zjednoczone wraz z Anglią postarają się zapewne odbudować równowagę i dlatego przewidzieć można walkę olbrzymią o podział Wschodu, która wybuchnie w XX stuleciu. Najszlachetniejsze tedy marzenia o rozbrojeniu i o pokoju na niczem spełznąć muszą: narody, któreby na to się zgodziły, poczyniłyby niewątpliwie pewne oszczędności, ale utraciłyby natomiast niezależność. Zresztą walki wojenne, grożące światu, nie są bynajmniej tak straszne, jak walki przemysłowe, które zarysowują się na widnokręgu. Zniszczą one prawdopodobnie ludy całe, czego nigdy wojny nie mogłyby uczynić. Te walki pokojowe są nieubłagane, gdyż prowadzą do zwycięztwa lub zagłady. Zwycięzko z nich wyjdą tylko te ludy, które posiadają w wysokim stopniu inicyatywę przemysłową i technikę udoskonaloną. Takimi zaś przedewszystkiem są Anglicy i Niemcy. Ludy łacińskie wyczerpane są długim wysiłkiem cywilizacyjnym i właśnie dlatego brak im energii i inicyatywy. Wszystkie zalety rasy łacińskiej, jak rycerskość, ogłada, artyzm — schodzą na plan drugi — dziś trzeba mieć przedewszystkiem zdolności handlowe i przemysłowe, których one nie posiadają. Statystyka pokazuje, że przemysł i handel we Francyi upadły. Podczas gdy jej handel morski pozostał w pewnych dość ciasnych granicach, niemiecki w ciągu lat dziesięciu wzrósł wdwójnasób, a angielski o jedną trzecią. Francya schodzi na miejsce drugorzędne. Wydaje ona na swe kolonie rocznie 74 miliony, a otrzymuje z nich tylko 7, tj. traci systematycznie, gdy Anglia ciągnie ze swoich zyski niesłychane. Wszystko to wywołane jest apatyą, obojętnością kupców francuskich i brakiem inicyatywy.

To też wytwory niemieckie zalewają rynek francuski. Niemcy i Anglicy może zachowają swe stanowisko w walce ze Wschodem, która się otwiera.

Z drugiej strony pewne szanse utrzymania bytu mają też narody, których rolnictwo jest dość rozwinięte i ludność dość słaba, aby mogły same sobie wystarczyć. I na to jedynie, zdaniem Le Bona, może liczyć Francya. Wytwarza ona zboża tyle prawie, ile jej potrzeba dla utrzymania swej ludności. Ponieważ nie ma ona powodzenia w przemyśle i handlu, więc powinna poświęcić wszystkie swe siły rolnictwu.

Co się tyczy Niemiec i Anglii, to ponieważ Wschód ma wkrótce im zamknąć swe porty, zwróciły się więc ku Afryce, którą zagarnęły w ciągu lat kilku, pozostawiając ludom łacińskim tylko strzępki mniej korzystne. Anglia posiada obecnie połowę Afryki, którą pokryje kolejami i telegrafami, zamieniając ją na jeden z najbogatszych krajów świata. W ten sposób bieguny cywilizacyi zmienią swe położenie. Ale to wymagać będzie walk strasznych. Tylko kosztem pracy coraz bardziej wycieńczającej narody Europy potrafią walczyć z ludami Wschodu na gruncie ekonomicznym.

Takie są przewidywania autora, w zasadzie słuszne, ale nader jednostronne. Le Bon nie wziął pod uwagę innej siły — dążenia do federacyi, która nader wyraźnie się zaznacza śród Anglo-Sasów z jednej strony, ludów amerykańskich z drugiej, a w Europie może wytworzyć — właśnie pod naciskiem konkurencyi wschodniej — bądź jedną federacyę wszecheuropejską, bądź też cały szereg: wszechgermańską, wszechłacińską, wszechsłowiańską. W takim razie wszystkie rachuby i przewidywania Le Bona zawiodą.

O ile jednak przewidywania Le Bona są słuszne czy chimeryczne, to tylko rozwój rzeczywisty ostatecznie przyszłemu stuleciu pokaże.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Gustaw Daniłowski: *Nego*, nowele. Warszawa, nakładem Bronisława Natansona, r. 1900, str. 218.

Klątwą współczesnej beletrystyki naszej nie jest bynajmniej brak szczerych talentów i utworów wartościowych, ale raczej nieproporcyonalny rozrost wszelkiego rodzaju chwastów literackich, przygłuszających swą wybujałością nadmierną owocodajne kwiaty głębszych myśli i prawdziwego natchnienia. W takim stanie rzeczy sprawozdawca z bieżącego ruchu beletrystycznego coraz częściej odgrywać musi rolę owej siatki z drukowanego świeżo w *Prawdzie* wiersza p. Gustawa Daniłowskiego, która — „z nieskończonej fali wyławia muszle, odłamki korali, muł, trawę, pianę, a najwięcej... śmieci." I wdzięcznym być powinien losowi, jeżeli ten da mu wydobyć z mętnej głębiny zdobycz takiej wartości, jak wymieniony w nagłówku tom nowel młodego poety.

Książka p. Daniłowskiego pisana jest od początku do końca t. zw. prozą, tj. nie posiada w swem łonie ani jednej pary rymów najzwyklejszych. Że jednak autorowi jej przysługuje w zupełności i przedewszystkiem zaszczytne miano poety — świadczą o tem nietylko piękne utwory rymowane, z którymi czytelnicy nasi mieli sposobność spotkać się niejednokrotnie, nietylko odznaczenie, zdobyte świeżo na konkursie poetyckim przez poemat „Na wyspie," lecz może najwymowniej — ten właśnie pierwszy zbiór nowel, pozwalający tak dobrze zajrzeć do głębi duszy swego twórcy.

W siedmiu utworach zbioru panuje rozmaitość duża. Obok dwu bardzo ładnych *nowel* w zwykłem tego słowa znaczeniu („Nego" i „Wigilia"), mamy tam fantastyczny, nastrojowo-sarkastyczny urywek p. t. „Chudy pan," dwa inne, w podobnym tonie, lecz na gruncie realnym trzymane fragmenty, p. t. „Na spacerze" i „Wesoły pasażer," dalej króciutką „Bajkę arabską" o smutnej miłości pieśniarza na wymarzonej wyspie „Amo" — i wreszcie pełen plastyki i niepospolitej siły obrazek alegoryczny p. t. „Pociąg." Ten ostatni głębokością myśli przewodniej, oryginalnością pomysłu i artyzmem wykonania przoduje może zbiorowi całemu i jest w nim najdojrzalszym, najbardziej zrównoważonym utworem, lecz poetyczna, buntownicza, niezadowolona z rzeczywistości dusza autora odbija się lepiej gdzieindziej.

Nowela „Nego," od której książka p. Dan. otrzymała nazwę, zdaniem naszem, niezupełnie słusznie zaliczona została przez niektórych recenzentów do jednego rzędu z takimi utworami, jak „Z pamiętników nauczyciela poznańskiego" Sienkiewicza lub „Didomi" A. Niemojewskiego. Zapewne — myśl przewodnia tamtych utworów: przeciążenie młodzieży szkolnej pracą nieprodukcyjną i wrogi stosunek nauczycieli i uczniów i tutaj poniekąd znalazła uwydatnienie. Autor nakreślił przytem kilku trafnymi, z rzeczywistości wziętymi rysami, zarówno ociężałą postać rutynisty-filologa, rzemieślnika w mundurze profesorskim, jak i nienawidzącą go serdecznie gromadkę malców szkolnych; dał nawet rodzaj recepty na smutne następstwa złych stosunków, w rozumnej radzie starego nauczyciela matematyki, wypowiedzianej podczas rozmowy z matką niesprawiedliwie „obciętego" i usuniętego z gimnazyum Jasia.

Tylko że wszystkie te i tym podobne sprawy, niewątpliwie ważne i godne uwagi, odrazu w noweli usunięte zostały na plan dalszy przez wyborne i prawdziwie wzruszające odtworzenie stosunku matki do kochanego nad życie dziecka — i zwłaszcza samej, prześlicznej, choć szkicowanej tylko, postaci pani Maryi. Artysta „z punktu" odnosi w tym utworze tryumf nad pisarzem tendencyjno-społecznym. To też główną postacią noweli nie jest ani Jaś, ani żaden z jego światłych i pełnych powagi zawodowej przewodników na drodze do krynic wiedzy, lecz właśnie ta szczupła, drobna, kochająca tkliwie, pełna poświęcenia, lecz zarazem energiczna, niezmordowana, stała w przekonaniach i nawet w pewnych razach uparta, postać młodej wdowy, z tym swoim „subtelnym tonem dziwnej melancholii i zmęczenia," który jej twarzy towarzyszył stale i nie mógł się roztopić do szczętu w najserdeczniejszym uśmiechu jej ust różowych, niekiedy zaś występował tak silnie, że, patrząc na jej głowę, wspartą na drobnych dłoniach, cisnęło się na usta określenie: „kwiat cmentarny."

A ustępem, który w tej noweli, mnie przynajmniej, najdłużej pozostanie w pamięci, będzie nie, piękna niewątpliwie, scena, w której matka z synem odnajdują w słowniku różne znaczenia łacińskiego czasownika *nego*, lecz inna, jeszcze piękniejsza od niej, ostatnia, gdy młoda kobieta usiłuje uspokoić improwizowanym przy świetle księżyca nokturnem wzburzone nerwy syna i własne — i gdy ta melodya cudna tak zespoliła się z nocą, „że trudno było odróżnić, gdzie pani Marya, a gdzie noc grała? gdzie łkania strun, a gdzie łzy gwiazd?“ Lub gdy, w chwilę potem, pochylona nad łóżeczkiem syna, zamykała mu usta gorącym pocałunkiem i wpatrywała się badawczo w umiłowane oczy, w których widziała przeszłość minioną, z wyrazem takiej zadumy, „jakby z nich przyszłość chciała odgadnąć.“ „Przyczem — w oprawie nocy — tworzyli oboje tak piękną, smutną i harmonijną grupę, że wszystkie gwiazdy, do których właśnie dopiero teraz dobiegły dźwięki granej melodyi, pytały siebie: czy nie są oni czasem zaklętym kształtem ostatnich akordów tylko co przebrzmiałego nokturnu?“

Wyobraźmy sobie teraz podobną, tylko starszą znacznie panią Maryę (która w danym wypadku nazywa się panią Andrzejową), tak samo kochającą syna, choć mniej od poprzedniczki swojej rozwiniętą i wykształconą, w chwili, gdy, oczekując na powrót z obcego miasta niewidzianego od lat wielu, a dorosłego już jedynaka, dowiaduje się nagle o jego utracie, a będziemy mieli zasadniczy motyw drugiej noweli w tym zbiorze („Wigilia“), w której mniej może scen tak efektownych, jak końcowy ustęp noweli tytułowej, ale równie dużo intuicyi twórczej i owej wrażliwości na pewne subtelne drgnienia dusz ludzkich, właściwej tylko talentom prawdziwym.

Treść tej noweli urozmaicona jest bardzo; zatrzymywać się nad nią nie będziemy. Z wielu szczegółów, godnych uwagi, pragniemy tylko podkreślić oddanie przez autora z dużą prawdą psychologiczną mozolnego procesu, który się odbył w duszy pani Andrzejowej, zanim odgadła, że między nią a synem, podówczas uczniem klasy piątej, otwiera się przepaść pojęć, wierzeń i myśli, którą ona musi przebyć lub zginie, i zanim utracone chwilowo serce Michasia olbrzymim wysiłkiem woli zdołała odzyskać nanowo.

„Nego,“ „Wigilia“ „Bajka arabska“ i „Pociąg“ są utworami, różnymi pod względem treści, lecz opracowanymi z równym prawie, świadomym siebie artyzmem. wszystkie szczegóły są w nich obmyślane i odczute, nic dodać, ani ująć nie można. Mniej harmonii wewnętrznej i artystycznego skupienia, więcej bezpośredniości uczuć i wrażeń — dostrzegamy w trzech pozostałych urywkach zbioru, złączonych pewną wspólnością nastroju, której zasadniczym tonem jest gorzka, przechodząca niekiedy w sarkazm, ironia. Mamy tu jakby spowiedź czy skargę przeczulonej, nadwrażliwej duszy, znajdującej się w warunkach nienormalnych, dręczonej rozterek tysiącem i niemogącej znaleźć wyjścia z tego strasznego stanu. Uczucia i myśli cisną się chaotycznie do głowy, a, rzucone na papier, nie zawsze odpowiadają wymaganiom miary artystycznej, grzeszą niekiedy pewną przesadą, lecz przez to odbijają tem lepiej bolesny nastrój, który je powołał do życia.

Bohater wybornego w pomyśle i w wielu pojedynczych szczegółach „Chudego pana“ niepotrzebnie może odgrywa chwilami rolę prześladowanego przez los fatalisty („lubiłem bardzo ten sen: więc mi się wkrótce śnić przestał“; „żegnał mnie poczciwiec ze łzami, przywiązałem się do niego serdecznie: więc wkrótce umarł“) i nieprawdopodobnie gorzkie dla siebie rzeczy czyta czasem, przy pomocy swej „sztuczki,“ w głowie narzeczonej, kolegi i brata; lecz niezależnie do tego wypowiada niejednokrotnie niepowszednie myśli i pragnienia, a przytem maluje miłość sympatycznie i wzruszająco gorącemi barwami zakochanego poety.

Z innej strony wzięty, odwieczny temat miłości występuje również, obok wielu innych, w rozmowie dwóch przyjaciół „Na spacerze.“ „Byłem tu z nią — opowiada jeden z nich — na krótko przed ślubem. Nad nami wisiała jasna letnia noc i dużo gwiazd; a w sercach naszych tylo się uczuć zrywało, że brakło nam słów. Całowałem w milczeniu jej ręce białe... W jednych pocałunkach, wierz mi, drgało tylko serce i dusza, w innych zmysłów więcej. I kiedy w porywie namiętności zacząłem ją tulić do piersi, oczy, usta i złote włosy całować—nagle odsunęła mnie od siebie i zdławionym głosem spytała: „Czy jestem pierwszą kobietą, którą wziąłeś w ramiona?“ Nie uwierzysz, jak mi trudno było wydobyć to jedno słowo: „Nie!“ —Widać odczuła, ile mnie ta krótka odpowiedź kosztuje, bo, ująwszy mnie za rękę: „To nic, mój chłopcze — szepnęła — żadna z nas nie marzy już o tem, aby być pierwszą, chciałaby być przynajmniej ostatnią.“ A mnie jeszcze większy zdjął smutek. Bo naprzód w tych słowach brzmiała cicha skarga wszystkich kobiet na świecie i jaskrawo stanęła przede mną cała anormalność naszych stosunków, cała ich krzywda, a nasza niesprawiedliwość. A potem w mózgu moim utkwiły męczące pytania: Czy o wiele te moje pocałunki różnią się od tamtych? Czy ja tam nie zgubiłem wszystkich moich praw do tego, co jaśniejsze i szlachetniejsze?... Czy może to wszystko rzeczywiście sprowadza się do jednej namiętności zwierzęcej, osłoniętej mgłami idealnych marzeń, która wkrótce opadnie?... I długo nie mogłem odpowiedzieć ani tak, ani nie! Bo to, co było ze zmysłów, wciąż się plątało z tem, co z serca i duszy płynęło. Dwa te prądy mieszały się ustawicznie z sobą, splatały, zasłaniały się wzajemnie, póki nie przyszła chwila, kiedy ton większy i trwalszy trysnął czysty i samoistny.“

Nowela ta cała jest jednym, gorącym protestem przeciwko strupieszałym formom życia, przeciwko szablonowi, według którego „okrawa się serce, dusza większa, a do którego mniejsza się rozdyma.“ Lecz do tego protestu młodzieńczego niezupełnie dostraja się jakoś ładna sama przez się legenda o dwóch aniołach i duszach rozdartych, które, rozłączone z tą drugą umiłowaną swą cząstką, miewają takie chwile cierpienia i tęsknoty, że nawet anioł Marzący od nich ucieka...

Więc kto wie, czy ów zgrzyt ironii, występujący w niektórych utworach p. Danilowskiego, nie jest w gruncie rzeczy najbardziej usprawiedliwionym i zrozumiałym. w tym smutnym, jak życie samo w jego chwilach najczarniejszych, „Wesołym pasażerze,“ który, rzucony gdzieś daleko od wszystkich swoich, łka z bezbrzeżnego bólu i tęsknoty i, dławiąc się łzami własnemi, jeszcze szarpie swe serce szyderstwem z siebie samego:

„Ha! ha! ha! wesoły pasażer płacze! — huczy wiatr i zrywa się i gna ulicą, jak rozbawiony łobuz na widowisko. Po drodze strąca szyld jakiś, bębni w okiennice, w braku Żyda wali w kark wpół zeschłą akacyę i pędzi dalej... Ha! ha! ha! płacze, jako żywo, płacze! - wybucha nową kaskadą, mijając w pędzie pasażera; chwyta garściami pył śnieżny, ciska nim wokoło i leci dalej, zanosząc się od śmiechu. Wydostaje się na plac; tam się tarza, jak w paroksyzmie szału. Zrywa się znowu, gna już po polach, a w tym wybuchu niema już zwykłej swawoli; jest w nim natomiast coś ze śmiertelnych kurczów i drgawek. Wkrótce śmiech wichru przechodzi w syk, w jęk prawie. Aż w końcu wyczerpany, bliski obłędu i furyi, rzuca się całem swem ciałem na białą pierś samotnego pagórka — i tam w konwulsyach umiera.“

Ten piękny finał noweli i zarazem tomu całego ma w książce p. D. kilka równych sobie, pod względem siły ekspresyjnej, ustępów — w „Pociągu.“ Ale o tym ostatnim pojedynczy urywek, ani pobieżne streszczenie nie mogą dać czytelnikom należytego pojęcia.

Władysław Bukowiński.

MALARSTWO.

DZIADY,
cykl ilustracyj Czesława B. Jankowskiego.
(Wrażenia z wystawy).

Ilustracya, idąc ręka w rękę z myślą i intencyami autora, winna być tylko objaśniającym momentem — niejako podkreśleniem największych piękności dzieła, wyrażonem plastycznie.

Które momenty wybrać, jako godne takich podkreśleń i do nich się nadające— rzecz to artysty-ilustratora; jak je zrozumieć i odczuć - kwestya to jego talentu i indywidualności: narzucać szablonu artyście nie można. Można wszakże i powinno się wymagać od niego, aby pojęcie chwili ilustrowanej było najbardziej zbliżone do tego, jakie dał nam poeta w żywem swem słowie. Ilustrator bowiem nie jest właściwie kompozytorem, ale wirtuozem, który tłomaczy obraz pisany na obraz malowany. Takim był Gustaw Doré w swych rycinach do „Bajek“ Lafontaine'a, i „Don Quichota.“ Ilustracye te są perłami niesłychanej fantazyi, bogactwa układu, charakterystyki typów i, co najważniejsza, są one tak zharmonizowane z tekstem, że z ich olbrzymiej liczby nie wyrwie się do końca ani jeden ton fałszywy, z nastrojem ducha niezgodny.

W ten sam ton szczęśliwy trafiał u nas niekiedy Andriolli w kwitnącej epoce swej twórczości, że zacytuję: „Maryę,“ „Konrada Wallenroda,“ „Starą baśń,“ „Kunigasa“ itp. Po Andriollim nie mamy dotąd wcale ilustratora we właściwem tego słowa znaczeniu, wirtuoza, nie kompozytora, wygrywającego na tle pewnych motywów swoje własne kompozycye, jak to się obecnie najczęściej zdarza. Ilustratorów przygodnych, mniej więcej sumiennych, którzy wkładają w swą pracę znaczny zasób techniki, wykończenia, mamy bardzo wielu; ale takiego, któryby się umiał zespolić z danym autorem duszą — ani jednego.

Zdawało się przez pewien czas, że to spoczywające berło obejmie p. Antoni Kamieński, ale i ten, ze wszech miar utalentowany artysta, okazał się o całe niebo wyższym w kompozycyach własnych i portretach, niż w ilustracyach narzuconych. Jest więc pustka, której także świeżo wystawiony cykl p. Czesława B. Jankowskiego nie wypełni.

„Bo to nie „ilustracya,“ lecz fantazyowanie na pewien temat, a w dodatku fantazyowanie nieudolne, które przed szerszą publicznością może się wygodnie zasłonić jedynie chyba zręczną techniką i starannem wykończeniem.

„Dziady“! — ogromne słowo; trzeba było wielkiej wiary w siebie i swój talent, aby się na takie dzieło porwać... Już samym projektem, oddawna ogłoszonym, p. Jankowski dał dowód ogromnej odwagi i przeczucia siły, a zarazem ważne powody obaw, czy dziełu podoła — obaw, które się, niestety, sprawdziły.

P. Czasław B. Jankowski był znany jako bardzo zdolny, ale właśnie jeden z tych *gładkich* i sumiennych ilustratorów, o których mówiliśmy wyżej, znane były row-

nież liczne jego winiety, rozrzucone po pismach, wprawdzie bardzo zręczne, ale nie dające najmniejszego prawa do mniemań, aby ta technika przygodna mogła dać nam dzieło potężne, jakiem „Dziady“ być powinny. Pozostawała tylko nadzieja, że p. Jankowski, usunąwszy zręczność techniczną i znaczny zasób taniutkich efektów na bok — odrzuciwszy precz te fatałaszki, uszanuje wielkiego ducha Wieszcza, wniknie weń i za nim pójdzie...

Niestety, przystąpił do ilustrowania „Dziadów“ z całym magazynem swych eleganckich ułotności, jakby do lada nowelki.

I oto widzimy szeregi obrazków i obrazeczków, które wprawdzie mogą zasłużyć na miano *prześlicznych*, ale żaden z nich nie jest głęboki i wielki. W każdym razie, co „Dziady“ — to „Dziady“: a więc wypadało rozpocząć rzecz ogromnie uroczyście.

I narodziła się ilustracya *wstępna*, nosząca tytuł dzieła. Na mglistem wzgórzu mogił stoi typowy Mickiewicz pomnikowy, w płaszczu, z ręką na piersiach, z twarzą z epoki towianizmu — słowem, bardzo zbliżony do wszystkich owych braci z marmuru, bronzu czy spiżu. Wieszcz wzniósł oczy w górę: po za nim zaś widać niebo i mgliste postacie w szatach porozwiewanych tajemniczo. Te wszystkie widziadła poety przypominają plafon bardzo efektowny. Bez tej *karty tytułowej* można byłoby się obejść, a pomysłowości artysty nie przynosi ona także zaszczytu. Dalej widzimy gromadę spieszącą na „dziady.“ Jako rysunek, rzecz to może jedna z lepszych w cyklu: nie posiada wszakże ani odrobiny odpowiedniego nastroju; zaś „Starzec i dziecię“ grzeszą teatralnością kompozycyi i słabym rysunkiem figur: są to ilustracye podrzędniejszej natury. Ale przejdźmy do innej sceny, odtwarzającej wspaniałą chwilę, mianowicie „Młodzieńca zmienionego w głazy“:

> ...Wziął i westchnął, twarz mu zbladła
> I zalał się łez strumieniem
> I pocałował zwierciadło:
> I cały stał się kamieniem.

W jakiejś grocie stalaktytowej widzimy „młodzieńca,“ który w chwili kamienienia wygląda jak w spódnicy, trzyma zwierciadełko zaklęte i patrzy weń, ale tak obojętnym wzrokiem, jakby co najwyżej czytał... gazetę.

Twarz znowu zbliżona typem, jak na wszystkich kartonach, do samego Wieszcza, nic wyraża *nic* — zupełnie *nic*, a przecież silnym musiał być obraz w owem zwierciadle, kiedy aż w głazy przemieniał...

Ale to dopiero początek: nie traćmy nadziei.

> Myśl dziwna, zawsze mi się zdaje,
> Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia
> I wiecznie koło mnie krąży nakształt cienia.

Więc idzie młody Gustaw z poematu, wśród lasu okrytego śniegiem...

I wszystko byłoby już dobrze, ale artysta nie mógł oprzeć się pokusie, aby nie udrapować go w pięknie ułożony płaszcz, ma się rozumieć spadający z jednego ramienia, i aby nie dodać małej „poprawki“ — swego *ja*. Jakiś nieuchwytny aniołek błąka się koło Gustawa — czy to jest ów *ktoś* przez poetę wspomniany? Czy poeta określił ową istotę, jako aniołka? Nie: pozostawił go jako „ktosia“ — „nakształt cienia,“ niemającego jednak żadnej konkretnej formy.

Ale artysta chciał być domyślniejszym od Wieszcza i... narysował aniołka, czem popsuł cały nastrój tajemniczy poezyi, którą ilustrował.

A ten Gustaw, to raczej rozmyślający ponuro Hamlet, nie chłopak, marzący wprawdzie, ale młody, zdrów i wesoły, jakim jest Gustaw w I części.

Szósty rysunek przedstawia „Upiora.“ Jest to młodzieniec wychodzący z otwartego grobu, pobobnie jak duchy w maszyneryi teatralnej; jedną ręką, pozaginaną kurczowo w szpony (pomimo spokoju reszty figur), oparty jest o płytę odwaloną, a drugą ściska głowę i przeciąga się jak zbudzony ze snu. Upiór ma na sobie koszulę i płaszcz, nieco za pięknie udrapowany i chociaż „oczy na gwiazdę poranną wywrócił,“ zobaczyć jej nie może, ale za to widzi ją każdy na rysunku tuż pod ramą. Artysta chciał być tu w ścisłej zgodzie z tekstem, lecz w rezultacie wykonał to nieudolnie. Nic uwydatnił wcale grozy położenia i nastroju. Natomiast dał za tło pejzaż ładny wprawdzie, ale słodki i bez treści.

Dalej widzimy sam obrzęd „Dziadów.“ Wielkie zgromadzenie figur, niezwiązanych z sobą żadnym nastrojem, rysowanych bardzo słabo, a upozowanych teatralnie na źle wykreślonej podłodze. Bez szkody dla artysty nie zatrzymuję się dłużej nad tym kartonem i idę dalej.

Puszczyki, wrony i kruki szarpią widmo srogiego pana. Od najwyższego napięcia grozy do komizmu krok tylko: p. Jankowski uczynił ten krok nierozważny, sadzając uśmiechniętego puszczyka na nosie nieszczęsnemu dziedzicowi, który miota się w ruchach, pełnych komizmu, pośród latających ptaków przeróżnych i nieskończonej ilości fałdów swojej szaty zaświatowej. Już to wogóle duchy p. Jankowskiego lubują się w draperyach i fałdach bez końca, co nie dodaje im wcale tajemniczości, ale za to maskuje silnie niedociągnięty w wielu miejscach rysunek: nieszczęsnemu dziedzicowi np. na okrutnie pokręconej szyi ni stąd ni zowąd wyrasta... ucho; reszta ciała ginie w mroku, ptakach i szatach. Temat za wspaniały i za potężny, aby go można było bezkarnie upstrzyć tanimi efektami, artysta więc zaniechał ich tutaj, a że natomiast nie potrafił dać nic innego, to już wina nieszczęśliwego wyboru kompozycyi.

Karton dziewiąty przedstawia widmo Gustawa. Przed Marylą, odzianą w jakąś olbrzymią szatę z peleryną, stoi ta postać w todze rzymskiej, podobna raczej do dumnego patrycyusza, niż do kochanka pasterki. Ta zaś patrzy nań bardzo bezmyślnie, czyniąc ruch margrabiny z melodramatu, jak gdyby chciała powiedzieć: „opuść pan natychmiast mój dom!“ Garstka bezmyślnych figurantów o ładnie wycieniowanych główkach dopełnia reszty kompozycyi.

Ale oto już prawie kulminacyjny punkt cyklu: „Gustaw u księdza“ — rysunek budzący ogólne zachwyty. Rzeczywiście, jeżeli gdzie, to tutaj p. Jankowski użył wszystkich swych środków, włożył całą duszę; bo proszę spojrzeć, jak pięknie *odrobiony* jest ten zegar z kukułką, te warkoczyki małej dziewczynki, ta głowa księdza, który ma prawie każdy włosek własnoręcznie przez artystę wymuskany!.. Jednem słowem: cudo, które jednak ogromnie przypamina mi operetkę nastrojem i pojęciem postaci głównych, a zrozumieniem perspektywy wykreślnej (figura klęczącego na pierwszym planie chłopca) grzeszy straszliwie.

Dalej widzimy Gustawa wielce podobnego do wodza Irokezów, z książek dla młodzieży. Rysunek ten pod żadnym względem nie zasługuje na dłuższą uwagę, więc idziemy dalej. Następny zaś ilustruje urywek:

> Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie,
> Oczy zwrócone w ziemię—nie spojrzała ku mnie!

Maryla, podobna do brzydkiej aktorki z pozą do fotografii, stoi wsparta na ramieniu Gustawa, młodzieńca o głowie olbrzymiej, rękach żylastych i straszliwych, jak u rzeźnika. Maryla ma pięknie przerzucony przez ramię szal, Gustaw zaś jest udrapowany w płaszcz z peleryną, całości dopełnia lekki, słodki krajobraz.

Wszystko tu jest, oprócz poezyi — i to poezyi „Dziadów.“ A dalej — ilustracya do przecudnej piosenki Gustawa, co się zrodziła jeszcze w „kochanku Maryli.“

> . . . . . serduszko
> Bije zcicha, bije zrzadka;
> Już stanęło, już jej niema...

Ale gdzież to się wszystko podziało w ilustracyi p. Jankowskiego? Widzimy wspaniałe łoże, zarzucone poduszkami, „jaśkami,“ kołdrami itp. — widzimy pięknie wykończony na ścianie dywanik, którego deseń zdaje się więcej zajmować nieszczęsnego kochanka, niż umierająca Maryla. Jest tam nawet firaneczka i lampa, i rąbek jakiejś portyery, jest wreszcie i sama Maryla z okropnie wywróconemi oczyma, jest Gustaw uporczywie wpatrzony w dywanik. Klęczy, czy stoi — niewiadomo—gdyż nogi jego nikną zupełnie w cieniu, a reszta figury nie tłomaczy ruchu. Wszystko, jak widzimy, jest i oprócz odtworzenia przepięknej chwili śmierci pasterki, o co właśnie, jak się zdaje, głównie chodziło.

Czternasty karton ilustruje opowiadanie Gustawa:

> Jak trup samotny obok weselnego tłumu
> Leżałem na zroszonej gorzkim płaczem darni.

Gustaw w pielgrzymim stroju leży w pozie, która aczkolwiek może być bardzo wygodną — ale nic nie wyraża. Otacza go pejzaż leciutki, winietkowaty... Gustaw ma nogi dyskretnie przykryte pomiętym płaszczem, który zamienia figurę w niezdarną plamę.

A dalej prawdziwa niespodzianka: jedyna rzecz w całym cyklu zasługująca na miano kompozycyi — Śmierć psa Kruka... Nie są to jeszcze: „Dziady“ — ale, bądź co bądź, najgłębszy i najbardziej odczuty z obrazków cyklu.

Niestety! — w przedostatnim rysunku znowu zjawia się Gustaw... Straszliwy, operetkowy, z głową wodza Irokezów; wsparty zalotnie na krzesełku i na dobitkę... *wkładający* sobie nóż w serce, jak szpadę do pochwy! Odwróćmy oczy bo przecież koniec wieńczy czasem dzieło. Może choć teraz artysta się popisze i da nam kawałek swej duszy, a dla Wieszcza choć trochę szacunku... Gdzie tam! — Finał godny prologu.

> ...Śladem lubego anioła
> Cień mój błędny wkradnie się do nieba.

Jeżeli Maryla nie była ładną w pierwszych obrazkach cyklu — to w ostatnim jest wprost monstrualną: tłusta, gruba, o rękach przerażających, tuli do siebie Gustawa, któremu w eterach niebiańskich niewiadomo dlaczego urosła broda a twarz zmieniła się zupełnie... Okropnie niesmaczny rysunek!

I to już wszystko?!

Tyle pracy, tyle może nawet najlepszych chęci — a tak mało owoców! Wielkie dzieło Wieszcza pozostało, jak dotąd, w ilustracyi niewytłomaczonem.

Jest pustka, której cykl p. Jankowskiego nie wypełnił — przeciwnie, nasunął tylko myśli o potrzebie jej wypełnienia: o stworzeniu ilustracyj godnych wielkiego Mistrza i jego arcydzieł.

Antoni Gawiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Maurice Gandolphe: *La vie et l'art des Scandinaves (Życie i sztuka Skandynawów)*, Paryż, 1899, 3 fr. 50 c.

Autor zaznaczywszy na początku książki wpływ, jaki ciągła styczność z przyrodą wywiera na ukształtowanie się charakteru i życia Skandynawów, przechodzi do skreślenia różnicy między zrównoważonym, marzycielskim nieco Szwedem a gwałtownym Norwegczykiem. U obu jednak odnaleźć można

wspólne zasadnicze cechy: samodzielność i wrażliwość na piękno natury. Dzięki tej samodzielności, sprawami społecznemi kieruje inicyatywa prywatna. dająca niezmiernie dodatnie rezultaty. Jedynym objawem przymusu, wywołanym potrzebą narodową, jest walka z alkoholizmem. Uczciwość, sprawiedliwość nie są tam pustymi wyrazami. Złodziejstwo jest wyjątkiem tak rzadkim, iż nie bierze go się w rachubę. Szkoły, do których uczęszczają razem dzieci obu płci, zarówno biedne jak i bogate wyrabiają w swych wychowańcach poczucie równości, a dopuszczenie kobiet do wszystkich wydziałów uniwersyteckich i wszystkich posad narówni z mężczyznami, kształci to poczucie w dalszym ciągu. Wśród kobiet niema tam dyletantek; każda, najbogatsza nawet obiera jakiś zawód, aby być w danym razie niezależną i traktuje go nie jak rozrywkę, ale jako poważny obowiązek. Część druga, o sztuce, słabsza od poprzedniej.

HISTORYA „Dziejów powszechnych ilustrowanych“ wyszły zeszyty 281—290.

ENCYKLOPEDYA powszechna Orgelbranda zeszyt 119.

POEZYE

STARY STRYCH.

W budynku mej pamięci—pod sklepieniem zgniłem,
Jest stary, bardzo stary strych. Drzwi tam zamknięto
Oddawna. Tam pamiątki do grobu złożyłem
I całą dni umarłych przeszłość niepojętą.

Czasem, kiedy w głąb' siebie zwrócę senne oczy,
Widzę te drogie szczątki w kącie na podłodze.
Wtenczas mało mi serce do nich nie wyskoczy.
Ale sam już tam prawie nigdy nie zachodzę.

A wtenczas widzę wszystko. Nagle i pocichu
Powstaje dusza moja, mknąca niedościgle,
Staje z dziwnym uśmiechem na progu przy strychu,
Kładzie palec na ustach—i odmyka rygle.

Otwierają się wielkie, stare drzwi — i świeci
Dymiąca lampa. Pokój nizki i szeroki.
O! te złamane sprzęty, te stosy rupieci —
Całe dziwnego życia bajeczne epoki!

Otwierają się stare drzwi—światło migoce,
Wieje chłód, czuć zgniliznę—i skrzypią podwoje.
Czy widzisz, duszo moja, te skarby sieroce?
Przypatrz-że im się dobrze! Widzisz: wszystko moje!

A ona wtenczas klęka w oknie u framugi,
Bierze złamane rzeczy—błędnie, niby we śnie,
Bierze w ręce, podnosi—na jedną po drugiej
Patrzy—i łka boleśnie, bez granic boleśnie.

Nie tykaj! to są trupy. Widzisz: krew na murze...
Krew! krew! Nie płacz tak głośno! Stoisz nad mogiłą.
Aa... Zabawki dziecinne, książki, zwiędłe róże,
Pęk włosów... Więc to żyło? Więc to wszystko żyło?!..

Żyło, a potem zmarło? Czy to zmarło samo,
Czy to myśmy zabili? My—zabili? Po co?
My, jak zbóje, zawlekli, zadusili nocą,
Rzucili w kąt i skryli—tutaj za tą bramą?!..

Patrz: te złamane skrzydła. Młodość. A tam dalej —
Oo... to jest miłość moja... Jaka niepodobna!
Pamiętasz dzień grudniowy, gdyśmy je chowali?
Jednego dnia chowali — a każdą zosobna...

Ten stary strych już dawno, tak dawno zamknięto.
Marzę o nim, gdy zmrokiem myślom puszczam wodze.
Złożyłem tam dni moich przeszłość niepojętą,
Lecz czuję dziwną trwogę, kiedy tam zachodzę...

Władysław Sterling.

O prawdę

Krytyka p Lutosławskiego.

W grudniowym zeszycie *Ateneum* (t. IV, z. III, str 450—461) p. W. Lutosławski zamieścił krytykę „Poradnika dla samouków“ (cz. I i II), p. t. „Potrzeby samouków.“

Po krótkim wstępie o samouctwie wogóle i po paru drobnych uwagach p. L. całe ostrze swej krytyki skierował przeciwko artykułom p. A. Mahrburga p. t. „Psychologia“ i „Historya filozofii.“ Z muzeum narzędzi filozoficznych krytyk wydobył zardzewiały, fantastyczny miecz i nie krępując się wcale, tnie zajadle na prawo i na lewo, niebaczny, że cięcia jego są jałowe i że przez to naraża się na śmieszność, przypominając fantasmagorye Don Quichota.

Między innymi zarzutami pana L. czytamy: „*Ale p. M. widocznie gardzi filozofią*... W jego myśli zadanie istoty duszy, szukanie pierwszych przyczyn faktów psychicznych, wcale nie należy do psychologii. Konsekwentnie też twierdzi, że *psychologia, a raczej ta psychofizyologia, która w jego wyobraźni stanowi całą psychologię, istnieje dopiero od połowy XIX wieku!*“

To się nazywa krytyka!

Gdzie p. L. dopatrzył się tej pogardy filozofii ze strony p. M., gdzie wyczytał, że psychologia i psychofizyologia są dla niego synonimami—tego docieć żadną miarą nie można. P. L. pragnąłby jak najwięcej mówić o „duszy“ w psychologii, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego (czy też uważając to za fakt małej wagi), że od Platona do chwili obecnej upłynęło niemal 2250 lat, a psychologia nowożytna, jakkolwiek zapoczątkowana przez Arystotelesa, jako umiejętność, oparta na badaniu faktów duchowych, datuje się niezaprzeczenie od połowy XIX w. „Πάντα ῥεῖ,“ a więc i pojęcia naukowe ulegają zmianie. Przez ten długi łańcuch wieków ubiegłych dusza Platońska, jako substancya, jako określona i skończona w sobie całość, rozpłynęła się w nauce współczesnej, która ją rozklasyfikowała na stany i sprawy psychiczne, podlegające ścisłym badaniom; żaden zaś z poważniejszych uczonych doby obecnej nie bada „duszy“ jako odrębnej istoty, nie mówi nawet o niej, używając li tylko tego wyrazu w znaczeniu „świadomości“ (H. Hoffding: „Psychologia w zarysie“), lub dla oznaczenia „grupy zjawisk psychicznych“ (J. Sully: „Umysłowość ludzka“).

Dalej p. L. pisze: „...u niego w klasyfikacyi nauk metafizyka jest zaopatrzona znakiem zapytania, a *wiedza ludzka zaczyna się dopiero w XIX w.*“ Przedewszystkiem zachodzi tu ogromne nieporozumienie. P. L. nie zdaje sobie widocznie sprawy z dwóch zgoła odmiennych pojęć: „nauka“ i „wiedza,“ gdyż stale posługuje się w swoim artykule słowem „wiedza,“ przytem nie wyjaśnia wcale, co oznacza u niego „wiedza“ i w jakim jest ona stosunku do nauki. P. M. zaś określa wyraźnie jeden i drugi wyraz i ma do czynienia tylko z „nauką,“ pojętą jako „układ (system) pojęć i sądów o ogóle doświadczeń — sprawdzalny i konsekwentny“ (cz. II, str. 466). Wychodząc z tego punktu widzenia, konsekwentnie z założeniem, nie zalicza on metafizyki do działu nauk, wyklucza ją z klasyfikacyi, jako gałąź „wiedzy,“ niemającą nic wspólnego z nauką w istotnem znaczeniu tego wyrazu. Skąd zaś p. L. powziął takie opaczne mniemanie, że podług p. M. „wiedza ludzka“ zaczyna się dopiero w XIX w., jest to zagadką nierozwiązalną, świadczącą o bujnej fantazyi krytyka, lecz sprzeczną z faktami, gdyż w rozprawach p. M. niema nic podobnego i p. M. nie mógł wypowiedzieć takiej niedorzeczności, chociażby z tego tylko powodu, że w tym samym „Poradniku“ opracował trzeci dział p. t. „Historya nauki,“ w której ciekawy czytelnik może sprawdzić rażącą bezzasadność wniosków krytyka.

„Dochodzi nawet p. M. (czytamy dalej) do tak krańcowego poglądu, że niema konsekwentnej budowy wiedzy, tylko oportunizm, „gdyż, według jego zdania, *nikt całej psychologii objąć nie może.*“ Oczywistą jest rzeczą, że gdy powyrzucamy dowolnie ze zdania niektóre wyrazy, otrzymamy myśl odmienną, którą, gdy tego zajdzie potrzeba, łatwo jest nagiąć do własnych wymagań. Otóż dopuścił się tego p. L., jak to zaraz wykażemy. Na str. 263 (cz. I) p. M. pisze: „*ponieważ nikt całej psychologii naraz objąć nie może*, nie będzie się oddawał wszystkim jej zagadnieniom *jednocześnie*, więc oczywiście uzupełnienie braków wiedzy pomocniczej w każdym wypadku musi przybrać jakiś określony kierunek.“ Widzimy zatem, że krytyk przeoczywszy, czy też świadomie wyrzuciwszy wyraz „*naraz*,“ nadał zdaniu p. M. zgoła odmienne znaczenie, wprowadzając w błąd nieświadomych czytelników, co do istotnej myśli, wyrażonej przez autora. Nic zatem dziwnego, że po pochyłości błędnego rozumowania, dzięki sfałszowanej przesłance, krytyk stacza się coraz głębiej do odmętu absurdów i wnioskuje już całkiem niedorzecznie: „*Pa confessio impotentiae* właściwie podkopuje całą zasadę samouctwa i zdaje się zaprzeczać nawet potrzebie „Poradnika.“

Również fałszywa wykładnia, osnuta na fantazyi p. L. i przecząca rzeczywistości, bije w oczy z następnego zarzutu: „Na zapytanie samouka — pisze p. L. — w jaki sposób mógłby posiąść główne prawdy wiedzy ludzkiej (samouk pisze wyraźnie „cały cykl wiedzy“) tak, iżby nic istotnego nie opuścić, odpowiedź ta, w myśl p. M., zaznacza, że o *całokształt wiedzy wcale nie chodzi, tylko o poszczególne jej kierunki.*“

Co słowo — to fałsz.

Odpowiedź brzmi w głównych punktach wyraźnie, jak następuje: „Nasze stanowisko jest takie: 1) Nie chodzi nam o „cały cykl wiedzy,“ ani wogóle o wiedzę, lecz o pewien gatunek wiedzy z pośród mnóstwa możebnych, mianowicie o naukę. 2) Nam ze stanowiska „Poradnika“ chodzi między innemi o wyzyskanie nauki dla potrzeb wykształcenia ogólnego. 3) Program wykształcenia ogólnego dla samouka musi wskazać minimum niezbędnej wiedzy naukowej dla człowieka światłego“ (P., t. II, str. 674—675).

Ale p. L. o każdej rzeczy chce mieć swoje własne zdanie; gromi więc p. M., że niepotrzebnie „przytacza powierzchowne dzieło Drapera „Dzieje stosunku wiary do rozumu,“ *nie zna zaś daleko gruntowniejszego dzieła White'a,... choć mógłby się łatwo dowiedzieć o niem.*“ Na str. 477 (t. II) „Poradnika,“ po krótkiem streszczeniu i przedmiotowej charakterystyce książki Drapera, czytamy: „Ktoby pragnął uzupełnić i historycznie pogłębić wiadomości swoje w tym kierunku, a zarazem korzystać z obfitego źródła sumiennych informacyj, z pożytkiem może się zwrócić do dzieła Ottona Zocklera „Die Geschichte der Beziehungen zwischen Theologie und Naturwissenschaft“...

Co prawda niema tu mowy o pracy White'a, lecz to już jest wynikiem osobistych zapatrywań autora, których kwestyonować w taki sposób nie można: dla p. L. dobrym jest White, dla p. M. — Zockler. Niestety, o Zöcklerze p. L. przemilczał zupełnie.

„Kto ślęczał nad metafizyką Arystotelesa — rozumuje dalej p. L. — ten nigdy nie popełni tak elementarnego błędu, jak p. M., który twierdzi, że *nauka może dowodzić niemożliwości poznania czegoś*, np. mechanika ma dowodzić, że *perpetuum mobile* jest niemożliwem.“ I tu znów p. L. nawspak pojął myśl, wyrażoną w sposób ścisły i jasny, w której p. M. wykazuje niedorzeczność podobnego twierdzenia Ueberwega w jego określeniu filozofii (P. t. II, s. 580). „Mechanika — powiada p. M. — między innemi dowodzi, że *perpetuum mobile* jest niemożebne, fizyka — że rozważanie ciepła, jako płynu nieważkiego, jest urojeniem; ale śmiesznem byłoby twierdzenie, że mechanika jest nauką o *perpetuum mobile*, lub fizyka nauką o cieple, jako nieważniku. Takiej nauki, któraby zajmowała się tem, co jest niepoznawalne, niema i być nie może, bo byłaby to sprzeczność, równająca się twierdzeniu, że się poznaje to, co poznawanem być nie może. (P. t. II, str. 580—1),

Załatwiwszy się w ten dość dziwny sposób z rozprawami p. M. (wszystkie zarzuty, prócz jednego, że w dziale bibliograficznym pominięty został W. James, psycholog amerykański, nie licują z prawdą), krytyk znękany i wyczerpany

skrzętnem wyszukiwaniem urojonych niedorzeczności i niekonsekwencyj, jakoby w artykułach p. M. zawartych, złośliwie dodaje: *„możnaby setki* (sic!) *logicznych błędów, fałszywych sądów i niedokładności wytknąć w tej części „Poradnika,“ która, mojem zdaniem, na nieszczęście samouków została opracowana przez p. M.“* Zgodniej zaś z prawdą wypadałoby zmienić to zdanie i powiedzieć — na nieszczęście krytyka, który zadał sobie śmiertelny cios, gdyż powypaczał sądy autora i nakrywszy się płaszczykiem szumnych ogólników i aroganckiego tonu, dowiódł niezbicie nietylko nicości swej krytyki, lecz i zupełnego niezrozumienia nauki i opartej na jej wynikach filozofii.

Uwagi ogólniejszej treści o pozytywizmie, hierarchii pojęć, o pojęciu „równości“ i *perpetuum mobile*, któremi p. L. przeplatał chybione ciosy swej krytyki, nie zasługują na bliższe rozpatrywanie ze względu na swą nicość teoretyczną i nadzwyczaj fragmentaryczny charakter. Tem bardziej, iż rzecz cała trzymana jest nie w tonie krytyki przedmiotowej, lecz od początku do końca cechuje ją zabarwienie ultra-subjektywne, tchnące jakąś niewytłomaczoną złośliwością. Panu L., jak widać z jego artykułu, nie chodzi też i o dobro ogółu samouków, wobec których, on filozof-metafizyk, miesza z błotem przekonania filozoficzne i naukowe drugiego filozofa, lecz przedewszystkiem chodzi o wykład i apologię swoich osobistych poglądów na filozofię i jej zadania. Niestety, czyni on to nie drogą umiejętnego, ścisłego, nowoczesnego badania, jeno drogą powoływania się na filozofów zamierzchłej starożytności, np. na Platona i Arystotelesa.

„Przeciwko pozytywizmowi p. M.—tak brzmią rady p. L. — niech samouk bierze do ręki Gołuchowskiego „Dumania o najważniejszych zagadnieniach,“ przeciwko Comte'a — metafizykę Lotzego.“ W końcu zaś dodaje: „mamy taki wzór w literaturze polskiej „Poradnika dla samouków“ w zakresie filozofii, jak „Wstęp do filozofii“ Struvego.“

Otóż co do p. M. i jego opacznie pojętego przez krytyka rzekomego pozytywizmu, na którego karb p. L. zwala wyliszczone powyżej niedorzeczne twierdzenia — można wysnuć niewątpliwy wniosek, że p. L. wciąż jeszcze mówi o Comcie i jego pozytywizmie, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, iż z biegiem czasu kierunek filozoficzny, wytworzony przez Comte'a, przeistoczył się z gruntu i wraz z innemi teoryami naukowemi i filozoficznemi wcielił się do nauki, opartej na logice i doświadczeniu krytycznem.

I pomimo tego p. L. uparcie poleca samoukowi „Wstęp krytyczny“ Struvego, tego eklektyka i metafizyka, nie zważając wcale na głosy krytyki tej pracy, pisanej, między innymi, przez M. Massoniusa (*Głos*, nr. 4, 5, 6, 7, rok 1899), w której udowodnioną została cała nienaukowość tego dzieła, wytknięto dużo kardynalnych błędów i wyrażono myśl, że temu, kto nie chce wziąć rozbratu z nauką, podobnych dzieł pisać nie wolno.

Samouk W. S.

W DALI.

Lublin. Przed kilku dniami w sądzie okręgowym lubelskim na ławie oskarżonych zasiadł 19-letni włościanin z gub. Grodzieńskiej, wychowaniec seminaryum nauczycielskiego w Chełmie, Sergiusz Wiazowski. Akt oskarżenia zarzuca, że w d. 13 listopada 1899 r., podczas lekcyi metodyki języka rosyjskiego w seminaryum chełmskiem, uczeń trzeciego kursu, Wiazowski, strzelił dwa razy z rewolweru. Pierwszy strzał skierowany był do nauczyciela i inspektora seminaryum, Morozowa. Kula trafiła w prawe ramię, przebiła mundur i kamizelkę, i spłaszczywszy się o stalową sprzączkę od szelki, nieznacznie podrapała skórę w okolicy obojczyka. Podrapanie lekarz uznał za lekkie i nieszkodliwe dla zdrowia. Wiazowskiemu odebrali rewolwer koledzy. Morozow oraz nauczyciele Orłow i Słusarewskij zeznali, że Wiazowski był kilkakrotnie karany za różne przewinienia. W sierpniu 1899 r. zamiast całkowitego stypendyum dano mu tylko połowę. Pewnego razu Wiazowski nie chciał się ostrzydz i żądał od inspektora Morozowa, ażeby mu pokazał prawo, któreby nakazywało strzyżenie. Według jednomyślnych zeznań kolegów Wiazowskiego: Borysowa, Szczura, Petrenki, Isaczuka i innych, Wiazowski był zdolnym, dobrym i porządnym uczniem, lecz nie miał szczęścia podobać się Morozowowi, który dokuczał mu moralnie, wymyślając od chamów, wandalów itp., a raz chcąc go upokorzyć i ośmieszyć, kazał mu dozorować w ustępie kolegów, czy nie palą papierosów. Jakkolwiek tej ostatniej wersyi Morozow zaprzeczył w sądzie, to jednak surowe obejście się z Wiazowskim stwierdzili nawet dwaj nauczyciele seminaryum. Podsądny przyznał się do winy, lecz twierdził, że nie miał zamiaru zabić Morozowa, lecz tylko chciał go przestraszyć. Ekspert dr. Janiszewski określił stan Wiazowskiego jako człowieka, działającego pod wpływem afektu, w zapalczywości i rozdrażnieniu, wywołanem nielitościwem obchodzeniem się z nim. Eksperci: Boczkowski i Rozenberg, po wypróbowaniu siły strzałów w jednym z przyległych pokojów wyrazili opinię, że naboje były słabe. W obszernem przemówieniu podprokurator Merkuljew dowodził, że o niepoczytalności podsądnego mowy być nie może, działał on z rozmysłem, że mimo to zasługuje na pobłażanie i dlatego żądał zmniejszenia kary o kilka stopni, lecz z kwalifikacyą przestępstwa według art. 9, 115 i 1451 kod. kar. gł. i popr. W obronie oskarżonego przemawiał z urzędu adw. przys. Czerwiński, prosząc sąd o uznanie Wiazowskiego, jako działającego w stanie koniecznej obrony lub w zapalczywości i rozdrażnieniu i o zastosowanie art. 1466 k. k. gł. i popr. Sąd, po półgodzinnej naradzie, ogłosił wyrok, którego mocą Sergiusz Wiazowski skazany został na rok więzienia, bez pozbawienia praw. (Szczegóły te podajemy według sprawozdania *Kuryera Warszawskiego).*

Łódź. W tych dniach ministeryum zatwierdziło etat bardzo doniosłej instytucyi hygienicznej: miejskiej pracowni rozbiorczej. Olbrzymie dziś już miasto wzrosło w znacznej części kosztem zdrowia społecznego. To też bodaj żadne większe ognisko w naszym kraju nie popełnia tyle, co Łódź, grzechów śmiertelnych pod względem hygienicznym. Dotychczas niema wcale kontroli stałej nad jakością wody, produktami spożywczymi, nie jest znana dezinfekcya mieszkań itd. Całkiem słusznie wynagrodzenie kierownika stacyi, lekarza, wyznaczono stosunkowo dość znaczne: 2,400 rb. Tym sposobem będzie on mógł oddać się wyłącznie tak ważnym obowiązkom. Zarządzający będzie miał dwu pomocników: chemika i lekarza, pobierających po 1,200 rb. rocznie. Utrzymanie pracowni wynosić ma 3,000 rb.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Kole d. 15 stycznia rozpoczęło działalność Towarzystwo oszczędnościowo-pożyczkowe.

— W Popowie, pow. Pułtuskim, utworzono orkiestrę amatorską, złożoną z oficyalistów, rzemieślników i robotników.

— Władza zatwierdziła następujące spółki spożywcze: urzędników m. Siedlec, urzędników m. Piotrkowa i wreszcie takiej samej spółki we wsi Sielce na Kuźnicy, w gub. Piotrkowskiej.

— Stowarzyszenie pracowników handl. i przemysłowych uzyskało zatwierdzenie ustawy kasy oszczędnościowo-pożyczkowej.

— Konferencya wojskowej akademii medycznej w Petersburgu wybrała komisyę celem zbadania sprawy projektowanej kliniki dla alkoholików.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy pogrzebowej pracowników pocztowo-telegraficznych okręgu wileńskiego.

— Zatwierdzono ustawy spółek spożywczych w Dzięgielówce (pow. Humański, gub. Kijowska) i Jampolu (gub. Podolska).

— Synod najświętobliwszy rozesłał okólnik, w którym oznajmia powszechnie, że odtąd podania, opatrzone nieczytelnymi lub zmyślonymi podpisami, nie będą wcale rozpoznawane. Okazało się bowiem, że wszystkie tego rodzaju doniesienia były pisane w złym zamiarze, a liczba ich nie zmniejszała się wcale.

— *Siewiernyj Kuryer* przytacza w nr. 91 treść cyrkularza ministeryum spraw wewnętrznych z 27 listopada zeszłego roku (nr. 38) do pp. gubernatorów, na którego mocy wyłącznie do nich tylko należy prawo sprostowań i odwołań (na zasadzie ar. 138 ust. o cenzurze) we wszystkich sprawach dotyczących administracyi i rzeczy z nią związanych.

Szkoły. Władze instytutu weterynaryjnego w Warszawie starają się o wyjednanie w ministeryum środków na rozszerzenie praktycznej działalności zakładu, o zatwierdzenie nowej ustawy i powiększenie etatów, o pozwolenie wydawania czasopisma naukowego, wreszcie o uzyskanie funduszu na założenie internatu.

— Władza ministeryalna wyjaśniła, że synowie nauczycieli szkół wiejskich i miejskich, zarówno pozostających na służbie, jak i tych, którzy przesłużyli najmniej lat dziesięć, powinni być zwalniani od opłaty wpisowej w szkołach realnych i gimnazyach oraz w progimnazyach, szkołach techniczno-przemysłowych i niższych.

Prasa. Zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych postanowił zabronić sprzedaży numerów pojedynczych dziennika *Ruskij Listok*.

Nowe pismo. Od kwietnia r. b. zacznie wychodzić w Warszawie pod kierunkiem p. Zenona Pietkiewicza *Ekonomista*, tygodnik poświęcony nauce i potrzebom życia. Redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą jest p. Stefan Woyzbun. Nowy organ zajmie niewyzyskaną dotąd u nas placówkę w prasie.

Konkurs. Prezydent m. Krakowa ogłosił zawiadomienie następujące: „Celem uzyskania projektu na ramę do tablicy, którą ma sprawić krakowska rada miejska na pamiątkę obchodu 500-letniego jubileuszu uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent m. Krakowa ogłosił konkurs na warunkach następujących: 1) tablica będzie umieszczona w dziedzińcu budynku biblioteki Jagiellońskiej na pierwszem piętrze i wmurowana między oknami w ścianę południowo-zachodnią; 2) rama wykonana ma być z kamienia pińczowskiego; 3) styl dowolny, rysunek powinien odpowiadać powadze gmachu i otoczenia; 4) skala dla rysunków 1 : 10, dla modeli dowolna; 5) nagroda wynosi 50 koron, którą otrzyma projekt, zalecony przez znawców. Do osądzenia projektów zaproszono pp.: radcę prof. Maryana Sokołowskiego, dr. Stanisława Tomkowicza, dyrektora Juliusza Fałata, dyrektora Władysława Łuszczkiewicza, prof. Sławomira Odrzywolskiego, prof. Jana Zawiejskiego.

Bezrobocie. *Kuryer Warsz.* podaje następujące sprawozdanie sądowe: Inspektor fabryczny m. Warszawy przesłał do sędziego pokoju protokół, opiewający, iż przed trzema niespełna tygodniami właściciel fabryki cholewek damskich, Foszhopf, zameldował o bezrobociu, urządzonem przez licznych robotników, którzy samowolnie opuścili zajęcie, i wbrew przepisom fabrycznym nie wymówili pracy na dwa tygodnie naprzód. Inspektor fabryczny, po otrzymaniu zawiadomienia, zwrócił się do robotników i skłonił ich do powrotu. Po pewnym czasie robotnicy znów zaniechali pracy, wobec czego inspektor fabryczny domagał się ukarania winnych. Sędzia pokoju skazał sześciu na siedem dni aresztu policyjnego, głównego zaś inicyatora bezrobocia, Joska Handlarza, na 10 dni takiegoż aresztu. Zjazd sędziów wyrok ten pozostawił w swej mocy.

Teatr. Sprawozdanie z „Widm“ zamieścimy w numerze następnym.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Kalwaryjsko-Grójeckiej podwyższył ceny za bilety jazdy od rogatki mokotowskiej do Wierzbna z kop. 5 na 10, z wielką krzywdą dla mieszkańców Mokotowa. Za granicą widzimy odwrotną dążność — do stworzenia możliwie najtańszej komunikacyi miejskiej i podmiejskiej. U nas na pierwszym planie stoi nie dobro ogólne, lecz osobisty interes spekulantów, wyzyskujących społeczeństwo bezkarnie.

— Usunięto przeszkody, stawiane od lat wielu przez władze wojskowe w sprawie budowy kolei Warszawsko - Radomskiej. Dzięki temu owa najprostsza linia, która z czasem dotrze aż do Sandomierza, niewątpliwie przyjdzie do skutku.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że ministeryum komunikacyi, z powodu przesilenia węglowego, poleciło, ażeby wszystkie budynki stacyjne kolei skarbowych tudzież pociągi osobowe były opalane antracytem. Tym sposobem ministeryum spo- [illegible] zaoszczędzić 15 mil. pud. węgla koksującego się. Wkrótce ma także być wydane rozporządzenie, zalecające wprowadzenie antracytu do opału parowozów.

Przemysł i handel. *Nowoje Wremi.* donosi, że projekt organizacyi głównego zarządu sprawami handlu i przemysłu przeszedł w radzie państwa. Naczelnik nowego zarządu otrzyma prawa wiceministra.

— Ministeryum skarbu postanowiło stopniowo wprowadzać przepisy o obowiązkowej sprzedaży zboża na wagę.

Wystawy i zjazdy. Projektowaną wystawę rolniczo-przemysłową w Lublinie odłożono do roku 1901.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. Ch. Nie dla *Prawdy*.

Handlowcowi. O ile wiemy, nie była. Można się dowiedzieć w każdej księgarni.

W. O. O tłomaczeniu Konopnickiej nie wiemy, istnieje przekład Jezierskiego (Bibl. najcel. ntw. Lewentala). Jerzego Elliot'a: „Adam Bede" i „Sceny z życia duchownych." (Paprocki, 1892).

Panu F. K. w Jurjewie. Dzieła tego w zeszytach już nie posiadamy.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Февраля 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.